Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VII — Niedziela, dnia 16 lipca 1939 r. — Nr. 29



Z dzisiejszym numerem
bezpłatna premia książkowa
p. t. „Współżycie z ludźmi"

ADAM CZEKALSKI 19)

Narzeczona z Szanghaju

POWIEŚĆ

Fred pomyślał, że Fusu-Ko na pewno zmyśla, aby go zabawić nowinką. W dwa dni później jednak przyszła znowu i już od progu powiedziała:

— Atanasan, dzisiaj zastrzelili na ulicy jakiegoś Japończyka, Słyszałam, że to zrobili dwaj biali ludzie. Policja szuka wszędzie winnych, ale pewnie ich nie znajdzie.

Fred tym razem poważnie zastanowił się nad tym. Niewątpliwie ta wiadomość musiała być prawdziwa. Po trosze był wtajemniczony w niektóre agendy wywiadu białego i wiele rzeczy rozumiał ,wiele oceniał swoim bystrym umysłem, wyrobionym jeszcze przez długie przebywanie na wschodzie w charakterze korespondenta prasowego, toteż pomyślał, że Fusu-Ko mówi prawdę. Kim jednak mogli być ludzie, którzy zastrzelili Japończyka i dlaczego zastrzelili. Takie myśli nie dały mu spokoju w ciągu dwóch następnych dni i dwóch nocy. Wreszcie pewnego wieczora,, kiedy już ront wojskowy zaciągnął wartę przy jego domu, a on siedział w swojej izdebce z Fusu-Ko, powiedział do niej:

— Słuchaj, Fusu-Ko, po co ty tak często chodzisz do miasta? I skąd wiesz, że biali zastrzelili Japończyka?

Fusu-Ko starała się ukryć pewne zmieszanie, jakie odbiło się na jej twarzy, lecz nie udało jej się to na tyle, aby tego Thompson nie dostrzegł. To zmieszanie dziewczyny powiedziało mu znowu wiele. Po namyśle odezwał się przeto:

— Fusu-Ko, nie chcę cię więcej widzieć na oczy. Jesteś mi wstrętna. Chodzisz do miasta po to, aby władzom japońskim powiedzieć, jak ja się zachowuję i co mówię, a może nawet, jakie mam myśli.

— O, atanasan!

— Nie wykręcaj się, ja to wiem na pewno. Dlatego nie chcę widzieć cię więcej na oczy i nie chcę więcej z tobą rozmawiać. Chodź sobie dalej do biura wojskowego i opowiadaj, co ci się żywnie podoba, ale zabraniam ci przychodzić do mnie, lub znajdować się gdzieś w pobliżu mnie. Jeżeli choćby raz jeszcze tylko usłyszę, że śpiewasz gdzieś opodal, własnoręcznie dostaniesz w skórę i zostaniesz wyrzucona za drzwi tego domu. Rozumiesz?

— O, atanasan! — powtórzyła jeszcze raz Fusu-Ko i zalała się łzami.

— Czego beczysz? Czy ty myślisz, że ja nie wiedziałem o tym od pierwszej chwili? Wiedz o tym, że biały człowiek potrafi nawet myśli czytać u człowieka kolorowego. I ja twoje myśli odczytałem, wiem, po co cię tu przysłali. Żebyś mnie śledziła i żebyś donosiła do biura: co atanasan dzisiaj robił, gdzie chodził, co mówił i co nawet myślał. No, powiedz, czy nie tak jest?

Fusu-Ko, zgnębiona i przybita, znowu zalała się łzami, ale milczała uporczywie. To ostatecznie utwierdziło tylko Freda, że nie myli się bynajmniej. Nie zaskoczyło go wprawdzie to odkrycie dzisiaj prawdy, ale świadomość, że jego początkowe domysły potwierdziły się, była mu nieprzyjemna.

— Słyszałaś, co powiedziałem? — odezwał się znowu surowo Thompson.

— O, atanasan, przebacz mi — rzuciła się Japonka do nóg Freda — przebacz! Przysięgam ci na wszystkowiedzącą Majtreyę i dobrotliwego Diabutsu, że już nigdy tego nie zrobię. Byłam głupia, ach, atanasan, jak bardzo byłam głupia!

— Nie wierzę ci i nie chcę wcale widzieć cię więcej. Powiedziałem.

Ale Fusu-Ko nie chciała dać za wygraną. Objąwszy rękami nogi Freda, trzymała je mocno, a on nie chciał być na tyle brutalny, aby ją siłą oderwać od swoich kolan. Dlatego powiedział łagodniej, ale dość stanowczo:

— To się na nic nie zda, Fusu-Ko. Szkoda twoich próśb. Wieczorami szeptałaś mi do ucha czułe słówka, mówiłaś, jak bardzo serce twoje zakochało się w moim sercu, a w dzień biegałaś do urzędu, aby mnie sprzedawać za miseczkę ryżu. Jesteś podła, Fusu-Ko.

— Atanasan, wysłuchaj mnie, błagam cię wysłuchaj... Przyrzekam ci na wszystkowiedzącą i mądrą Miatreyę, że już nigdy tego nie zrobię. Wiem, że jestem podła, wiem ,że powinieneś mną pogardzać, bo nie jestem godna czołgać się przy twoich nogach, ale nie odtrącaj mnie, dopóki nie wysłuchasz.

— Przede wszystkim uspokój się — rzekł Fred. — A następnie, skoro już tak bardzo pragniesz mi coś powiedzieć, siadaj i mów, ale tak, aby cooksan nie posłyszał.

Japonka zwolniła z uścisku nogi Freda i usiadła na podłodze, ale uspokoić się i łez stłumić długo jeszcze nie mogła.

— Wysłuchaj mnie, atanasan, wysłuchaj, a potem nawet potęp. Pochodzę z rodziny biednych robotników fabrycznych z Nagasaki. W domu było nas dwanaście osób, bieda. Zaczęła się ta wojna z Chinami. Chodziłam do szkoły i pewnego dnia przybyła do naszej szkoły bogata pani, aby ją zwiedzić. Rozmawiała z wielu dziewczynkami, a wśród tych i ze mną. Potem odjechała. Ale w dwa dni później przybyli policjanci i zabrali pięć dziewczyn z naszej szkoły. Pojechałyśmy do Tokio, gdzie nas uczono przez trzy miesiące, jak trzeba dowiadywać się rzeczy wojsku potrzebnych, jak szpiegować nieprzyjaciela i wiele, wiele innych. Później dali nam pieniądze i wysłali w różne miejsca. Ja przyjechałam do Pekinu i tutaj od dłuższego już czasu pozostaję.

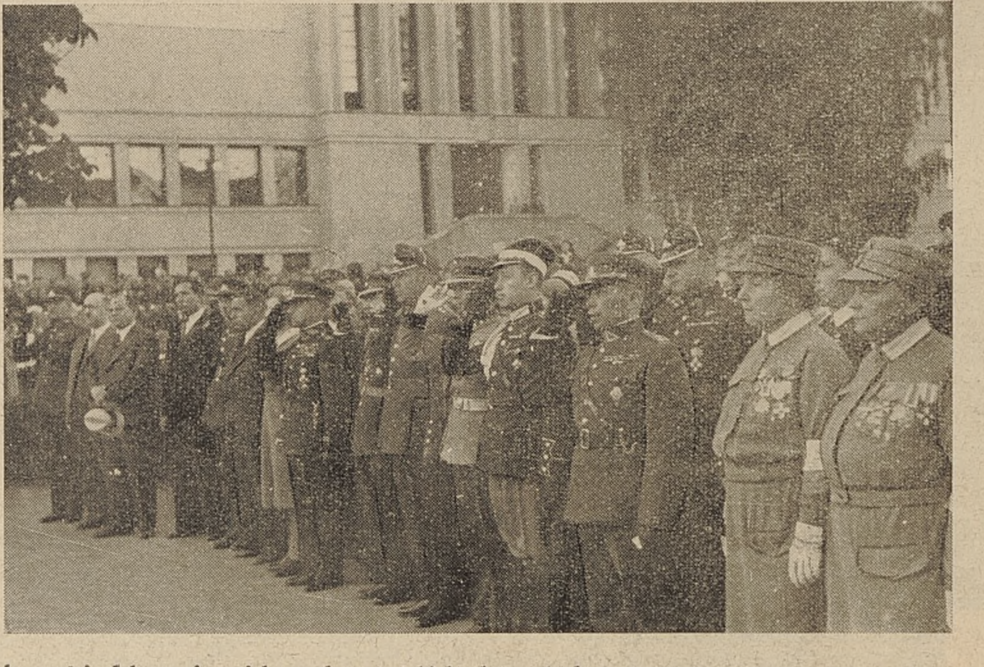
— A więc byłaś szpiegiem?

— Tak, atanasan. Ale przecie ty, taki mądry i wielki, nie potępisz mnie za to. Tak trzeba było. Ojczyzna nasza tego wymaga. Robimy to wszystko dla cesarza i gdy zajdzie potrzeba — umrzemy nawet za niego.

— Teraz cię zupełnie nie rozumiem. Jeszcze wczoraj powiedziałaś mnie, że gotowaś iść na śmierć za mnie, gdybym tego zażądał. Kogóż więc bardziej kochasz: mnie czy cesarza w Tokio?

Wybór w tym miejscu dla biednej Fusu-Ko był naprawdę bardzo trudny. Cóż miała powiedzieć? Co wybrać? Za sobą miała wielotysięczną tradycję, obyczaje tak różne od obyczajów ludzi białych, którzy nie potrafili ich w wielu wypadkach nawet zrozumieć. Cesarz był bogiem, na którego żadnemu z przeciętnych śmiertelników japońskich nawet spojrzeć nie wolno było. Gdy cesarz przejeżdżał gdziekolwiek — wyludniały się ulice miast i wioski. Cesarz był więcej niż tabu — to była świętość, której już nie tylko dotknąć, ale nawet na którego spojrzeć nie wolno było nikomu z postronnych poddanych .To był balast trudny do udźwignięcia dla daleko silniejszego i rozumniejszego człowieka, niż była mała Fusu-Ko. To było pytanie, którego nie rozstrzygnęliby zapewne sprawiedliwie najuczeńsi ludzie Japonii...

A z drugiej strony była miłość, wielka miłość małej Fusu-Ko, którą jej ten wielki biały człowiek narzucił z góry, chociaż nie starał się bynajmniej tego uczynić. Może nawet nie rozumiała tej swojej mi-



W obecności delegacyj wojskowych estońskich, łotewskich i fińskich odbyła się w Kownie uroczystość dwudziestolecia organizacji szaulisów

łości, może nawet nie zdolna była do jej właściwego określenia, ale czuła, że ta miłość jest w niej i jest mocniejsza, niż dziesiątki wieków tradycji, kultury, obyczajności japońskiej. Co miała w tych warunkach wybrać biedna Fusu-Ko?

Nie wiedziała sama, chociaż w swoim małym serduszku szukała gwałtownie odpowiedzi i starała się ją znaleźć. A nad nią stał wielki biały człowiek, który wprawdzie był zupełnie odmienny od tych wszystkich urodziwych chłopców japońskich, którzy jej się podobali, ale był może i lepszy, i na swoją modłę przystojniejszy i — inaczej, doskonalej potrafił kochać, niż chłopcy żółci.

Ta walka w serduszku biednej małej Fusu-Ko, która tak świetnie umiała śpiewać, chociaż to nie podobało się wcale białemu człowiekowi, trwała dosyć długo i nie wiadomo było jak się rozstrzygnie.

— Czemuż nie odpowiadasz, Fusu-Ko? — usłyszała nad swoją głową znowu ostry głos Ferda. — Wybieraj, masz teraz wóz i przewóz. Nie można jednakowo kochać dwóch ludzi. zawsze kogoś z nich należy kochać więcej. Powiedz mi więc, za kogo chętniej oddałabyś życie: za mnie czy za heika — cesarza?

— O, atanasan — jęknęła boleśnie Fusu-Ko — ja ciebie jednego tylko kocham, chociaż wiem, że ty nie kochasz mnie wcale. Ale i to mi wystarczy. Chcę być tylko przy tobie, patrzeć na ciebie, słuchać twojego głosu i służyć ci. Chcę ci być niewolnicą wierną i oddaną, o, atanasan!...

— Zatem przedkładasz mnie nad heika?

Głowa Fusu-Ko opadła na pierś, jak podcięta kosą. Nie mogła wypowiedzieć słowami takiego bluźnierstwa, chociaż wiedziała, że tak właśnie jest.

— Zatem... możesz zostać u mnie — wyrzekł po namyśle Thompson — ale pamiętaj o jednym: nie wolno ci wychodzić nigdzie bez mojego pozwolenia i nie wolno ci w urzędzie mówić niczego, czego ja mówić tobie nie każę. Czy zgadzasz się na to?

— Dlaczego pytasz, o, atanasan, czyż nie czujesz, że ja chcę być przy tobie? Czy mi nie ufasz? Jeśli chcesz, po raz trzeci zaklnę się na wszystkowiedzącą Maitreyę, że nie kłamię.

— Może i nie kłamiesz, ale widzisz, Fusu-Ko, jest takie powiedzenie u ludzi białych, że kto się raz na gorąco parzy, ten na zimno dmucha. A ja właśnie sparzyłem się na tobie, to znaczy zawiodłem się, więc dlatego teraz muszę się przekonać i upewnić, że mnie nie zwodzisz. Pamiętaj, że jeśli mnie okłamiesz, będę o tym wiedział zaraz, jak wiedziałem dotychczas, że mnie okłamujesz.

Fusu-Ko przyjęła ten wyrok w milczeniu, chociaż nie mogła się pozbyć wątpliwości, czy jej się uda oprzeć pokusie, kiedy ją zapytają w urzędzie. A może i tamci ludzie wiedzą również wszystko, co ona, mała Fusu-Ko myśli? To byłoby okropne jednak.

Od tego dnia minęło znowu parę spokojnych dni, w ciągu których Fusu-Ko codziennie wychodziła do miasta, wstępowała do urzędu i odpowiedziała ściśle to, co jej nakazał Thompson. Nie zdradziła umowy, jaka została między nimi zawarta. Przyniosła mu nawet parę gazet i książek europejskich, które otrzymała z urzędu. Nadto przyniosła wiadomość, że dotychczas zabójców Japończyka nie odnaleziono i że z tego powodu w urzędzie jest wielkie przygnębienie.



W przerwie koncertu na FON, który odbył się w Warszawie, p. Marszałek Śmigły - Rydz rozmawiał ze słynną śpiewaczką Ewą Bandrowską - Turską

— Nasze wojska wszędzie biją Chińczyków — dodała na zakończenie swoich relacyj. — Słyszałam nawet dzisiaj przypadkowo, że niedługo okręty wojenne japońskie pojadą gdzieś bardzo daleko na południe i zajmą wielką wyspę chińską Hainan.

Fred aż podskoczył na miejscu.

— Któż ci o tym mówił? — zapytał zdziwiony.

— Mówili mi w urzędzie — odparła. — Trwają tam teraz przygotowania do tej wyprawy. Cały sztab w ruchu, telefony dźwięczą, żołnierze biegają... Panuje tam wielki ruch, atanasan.

Wiadomość przyniesiona przez Fusu-Ko była dla Freda tak kapitalna, że o mało ze skóry nie wyskoczył na myśl, iż on tu siedzi zamknięty za murami dobrze strzeżonymi, a tam na szerokim świecie rozgrywają się tak wielkie historie, za które redakcje pism zapłaciłyby mu na wagę złota. A przy tym... W tym miejscu Thompson poczuł, że jest nie tylko człowiekiem i nie tylko korespondentem wojennym, ale także i to może przede wszystkim Anglikiem. I obowiązkiem jego, jako Anglika, jest przeciwdziałać temu zamiarowi. Zajęcie Hainanu, to prawie cios w samo serce władztwa tutaj nieśmiertelnej Anglii. Od Hainanu do Hong-Kongu, to tylko jeden skok prawie.

Nieszczęsny Anglik wił się na swoim miejscu, jak człowiek bardzo ciężko chory na żołądek, aż na to zwróciła uwagę Fusu-Ko.

— O, atanasan, powiedz, czy jesteś chory? — spytała.

— Tak, tak, Fusu-Ko, jestem bardzo chory na myśl, że jestem tutaj zamknięty i nie mogę wyjść do miasta i widzieć się z kimkolwiek innym, prócz ciebie, cook-sana i ogrodnika. Nawet żołnierzy, którzy otaczają ten dom w porze nocnej, widzieć mi nie wolno. Powiedz sama Fusu-Ko, czy od tego nie można zachorować?

— Pewnie można, o, atanasan.

— Widzisz więc...

Fred przebiegł raz i drugi miniaturowy pokoik i w pewnej chwili zatrzymał się raptownie przed Fusu-Ko.

— Fusu-Ko — rzekł — czy w Pekinie mieszka jaki biały człowiek oprócz tych, którzy zastrzelili Japończyka?

— Nie wiem, atanasan, nie widziałam żadnego.

— I nie słyszałaś?

— Czy nie słyszałam... — zamyśliła się Fusu-Ko. — O, tak, zdaje mi się, że jest taki człowiek. Jest to stary Sound, Anglik, mieszka niedaleko bramy cesarskiego miasta. Znają go tu prawie wszyscy, bo karmi głodnych i opiekuje się małymi Chińczykami.

Fred znowu przebiegł raz i drugi przez pokoik i znowu zatrzymał się przed swoją przyjaciółką japońską.

— Słuchaj, Fusu-Ko, czy ty mnie kochasz prawdziwie?

— O, atanasan...!

— I zrobisz wszystko, o co cię poproszę?

— Zrobię, atanasan, ale...

— Nie obawiaj się, nie będzie to nic takiego co zaszkodziłoby cesarzowi w Tokio. Chcę, abyś jutro poszła do tego starego Anglika Sounda i oddała mu moją kartkę. Nie będzie tam na niej napisane nic więcej prócz tego, że ja tu jestem zamknięty i proszę go, by się zajął moim uwolnieniem. Zrobisz to dla mnie, Fuso-Ko?

— Zrobię, panie.

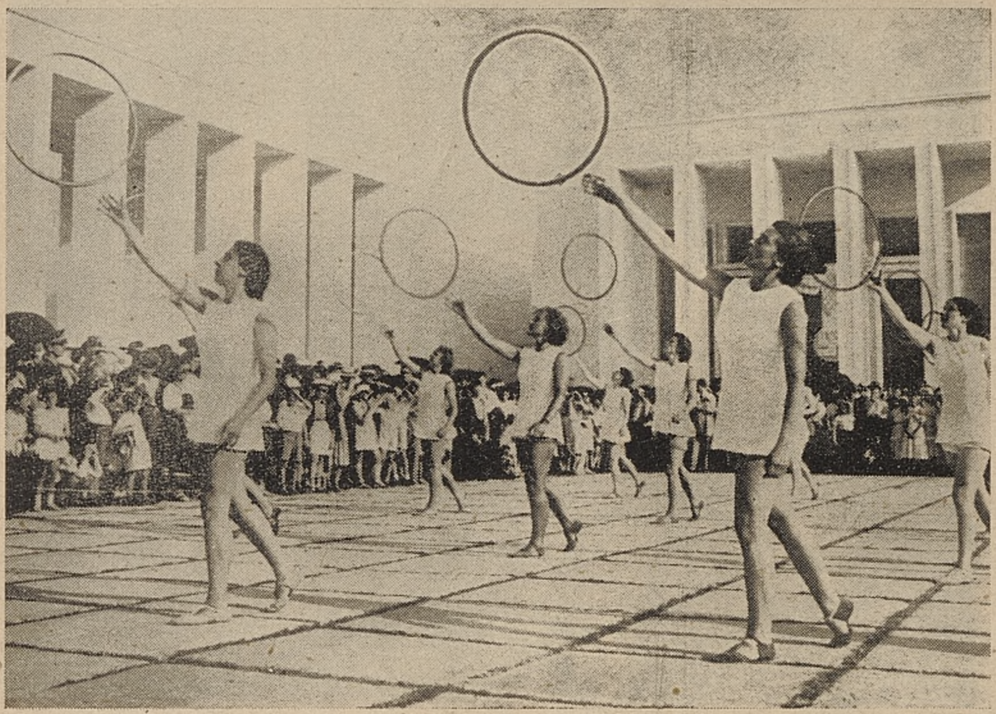
— I zaniesiesz kartkę, nie wspominając nic nikomu, ani cook-sanowi, ani ogrodnikowi, ani nikomu w ogóle w urzędzie?

— Nie wspomnę, atanasan.

— Pamiętaj, Fusu-Ko, że gdybyś mnie okłamała, ja wszystko będę wiedział, zanim ty jeszcze wrócisz.

— Będę ci posłuszna, atanasan, ale... po co czekać do jutra? Czyż dzisiaj nie można tego załatwić? Ja i dzisiaj mogę wyjść, cook-san mnie nie zatrzymą, ani ogrodnik zabroni wyjść.

— A wiesz, to jeszcze lepsze — zatrzymał się przed dziewczyną rozbiegany w dalszym ciągu Thompson. — Daj mi papier i pióro, zaraz napiszę ci tę kartkę.



Piękny pokaz gimnastyki rytmicznej

Gdybyś nie zastała samego Sounda...

W tym miejscu Fred zamyślił się, bo nie wiedział, co dalej powiedzieć. Obawiał się, czy kartka, doręczona komuś ze służby, dojdzie do rąk adresata. Z tej strony znał tak dobrze zarówno chińską jak i japońską służbę, że nie miał co do niej najmniejszych złudzeń. Służba na Dalekim Wschodzie bowiem uważa wszelką korespondencję za tak znikomą rzecz, że nie dba o nią wcale. I choćby człowiek biały sto tysięcy razy na dzień żądał oddawania sobie w określonej porze dnia korespondencji, albo też składania jej w określonym miejscu, listy i pisma znajdą się zawsze w najmniej do tego celu nadającym się schowku gdzieś w kuchni, w spiżarni, lub po prostu na schodach.

— Gdybym nie zastała samego mistes Sounda, atanasan, to komu mam tę kartkę oddać? — zapytała znowu Fusu-Ko.

— Poczekasz na Sounda. A gdyby długo nie wracał, oddasz jego cook-sanowi i rozkażesz, aby kartka na pewno doręczona została jego panu.

— All right, master.

Fred kilku rzutami pióra napisał na ćwiartce papieru: — Panie! Wprawdzie nie mam zaszczytu znać Pana, ale mimo to zwracam się do Niego, jako Anglika z prośbą, byś zechciał pomóc w niedoli rodakowi. Jestem Fryderyk Thompson, korespondent wojenny z Szanghaju, obecnie więzień władz wojskowych japońskich. Zechciej powiadomić gubernatora naszego w Szanghaju, mister Burthona i Mortona tamże i proś ich w moim imieniu o pomoc. Z góry składam podziękowanie za przysługę i pozostaję — oddany — Fred Thompson."

— Oto kartka, Fusu-Ko. Pamiętaj oddać ją misters Soundowi do rąk własnych, a w ostatecznym razie jego cook-sanowi.

— Dobrze ,panie.

Fusu-Ko przeczytała z ciekawością kartkę i naraz wykrzyknęła:

— O, atanasan, tu coś brakuje!

— Mianowicie?

— Adresu. Gdzież twoi przyjaciele mają cię szukać?

— A rzeczywiście!

Thompson dopisał adres i wyprawił pospiesznie Fusu-Ko do Sounda.

Thompson dopisał adres i wyprawił pospiesznie Fusu-Ko do Sounda.

XXXII.

ŚMIERĆ KABUKIZY

Była godzina 5,30 wieczorem, gdy na ulicy prowadzącej do dworca kolejowego w Pekinie znaleźli się dwaj kulisi, ciągnący taczkę. Taczka była pusta a dwaj kulisi posępni i obojętni na wszystko, nawet na obszczekujące ich pekińczyki z pyskami lwów, które tarzały się w piasku, wyprawiając ucieszne harce. Od czasu do czasu kulisi obrzucali się krótkimi urywanymi zdaniami w narzeczu tonkińskim, którego tutaj, w tej części Chin, prawie zupełnie nie rozumiano.

Rozmawiali zapewne o wojnie chińsko-japońskiej i konkurencji najrozmaitszych generałów, albo o tym, że mimo zajęcia Pekinu przez Japończyków, nic się w ich życiu nie zmieniło na lepsze. Dawniej byli generałowie chińscy, dzisiaj na ich miejsce przeszli Japończycy, a biedny kulis jak znajdował się na spodzie, tak znajduje się nadal. Któż tam zresztą wiedzieć może, o czym rozmawiają dwaj kulisi ciągnący ulicami Pekinu taczkę i jakie myśli kształtują się w ich mózgach.

Na połowie drogi od miejsca, gdzieśmy ich zobaczyli a dworcem kolejowym, przyspieszyli kroku i niebawem znaleźli się na podjeździe pełnym riksz, samochodów, wojska i ludności cywilnej. Postawili swoją taczkę i odeszli od niej tak obojętnie, jakby się bynajmniej nie troszczyli o to, czy po powrocie zastaną ją jeszcze na tym samym miejscu, czy też „wypożyczy" ją sobie jaki Su, Li lub Czang.

Na dworcu było tłumno i rojno. Wielu ludzi jechało do Tien-Tsinu, inni wybierali się do Japonii, a jeszcze inni przyszli tutaj tylko po to, aby się przyjrzeć ludziom bogatym i podróżującym pierwszą klasą, gdzie nie ma pluskiew i pcheł.

i szepnęła do jednego z nich coś i oto

Pociąg nie nadchodził. Dwaj kulisi stanęli na uboczu i obserwowali pilnie ruch na dworcu, nie myśląc zapewne o niczym. Ale w pewnej chwili koło kulisów przesunęła się jakaś Chinka z dzieckiem na ręku kulis zostawił towarzysza i poszedł za kobietą, która wyszła z dworca i skierowała się ku drzewom niewielkiego skwerku, u stóp których kłębił się gąszcz zarośli, stanowiących podszycie tego miniaturowego parku.

Kulis minął kobietę i poszedł o dwa kroki przed nią, tak, że każdemu przygodnemu widzowi wydawać się mogło, iż tych dwoje ludzi nie ma z sobą absolutnie nic wspólnego.

Tak jednakże nie było, gdyż ludzie ci rozmawiali z sobą, nie zwracając niczyjej postronnej uwagi.

— Co chciałaś mi powiedzieć Li-Ho? — pytał kulis. — Powiedz prędko, bo muszę wracać na dworzec.

— Dzisiejszego wieczora jest narada w sztabie w sprawie Hainanu, trzeba tego przypilnować, dobrze przypilnować — odrzekła kobieta.

— Skąd wiesz?

— Podsłuchałam rozmowę dwóch dżepen na stacji telegrafów.

— Dobrze. Nie wiesz o jakiej godzinie?

— Nie, master.

Kulis upuścił na ziemię banknot pięciodolarowy i poszedł na drugą stronę ulicy, a następnie zawrócił na dworzec. Jego towarzysz czekał na tym samym miejscu, na którym go zostawił.

— Cóż tam? — spytał krótko przybyłego.

— Wiadomość.

— Dobra?

— Każda wiadomość jest dobra, zależy dla kogo — uśmiechnął się zagadnięty.

Na tym poprzestali i znowu utkwili oczy w tłum ludzki, który przewalał się na obszernym dworcu. Pchły skakały po kamiennej posadzce, westibul całkowicie wypełniony był ludźmi i gwarem głosów ludzkich rozlegających się w najrozmaitszych intonacjach. Kulisi kłócili się przed dworcem i brali się nieomal za łby, a policjanci japońscy, uzbrojeni w bambusowe kije, puszczali je od czasu do czasu w ruch i przypominali skłóconym, że czas najwyższy przestać się awanturować.

W takim nastroju minął czas aż do nadejścia pociągu z Tien-Tsinu i zapadnięcia zmierzchu. Tu i ówdzie zapalono lampy, które rozświetlały nieco przestrzeń, ale w przeważnej większości wypadków kontentowano się światłem naturalnym od gwiazd. Dwaj kulisi, którzy dotąd stali razem nieruchomi, podpierając ścianę dworca, jak dwie kariatydy, na odgłos zbliżającego się pociągu rozdzielili się i stanęli przy dwóch wyjściach, prowadzących z peronu na ulicę.

Pociąg wpadł na stację ze zgrzytem żelastwa i hamulców, sapiąc głośno piersiami lokomotywy. Pierwsi pasażerowie zaczęli wysypywać się z wagonów, wypływać na peron i stąd ku wyjściom. Dwaj kulisi uważnie oglądali każdego pasażera, nie spuszczając z twarzy żadnego z oczu, lecz ten, na kogo widocznie czekali — nie pojawił się. Już pociąg odszedł w dalszą drogę do Kałganu, a pasażerowie wciąż jeszcze szli i szli, jakby ta fala ludzka nie miała się w ogóle skończyć w dniu dzisiej-

szym. Kulisi byli ogromnie zdumieni tymi tłumami. Nigdy dotąd, jako żywo, nie zdarzyło się, aby tylu ludzi przyjeżdżało do Pekinu, do miasta, które powoli obumierało, a właściciele domów wyrywali sobie z rąk lokatorów. Jakiś niezwykły to musiał być dzisiejszy dzień.

Ale w końcu twarz jednego z kulisów zmieniła się nagle i wyraz jakby radości osiadł na niej na jedną przelotną chwilkę. Widocznie oczy kulisa zobaczyły człowieka, którego spodziewały się tutaj zobaczyć. Oczekiwany pasażer ruszył żwawym krokiem w kierunku miasta, a kulis poszedł za nim w odległości nie większej nad trzy, cztery kroki. Z początku szli obaj wśród innych ludzi, ale niebawem ci rozpłynęli się po rozmaitych ulicach i zaułkach i zostali tylko we dwóch, a w oddaleniu dalszych trzech - czterech kroków od pierwszego kulisa szedł jego towarzysz. Taczkę zostawili przed dworcem. Nie zobaczą jej już pewnie oczy kulisów więcej.

Drugi kulis przyśpieszył w pewnej chwili kroku i prawie zrównał się z towarzyszem. Nie powiedzieli jednak do siebie ani słowa. Szli dalej w milczeniu, aż do pierwszej przecznicy, w którą skręcił człowiek z pociągu. Był to niewielki wzrostem, ale widać muskularny i silny Japończyk, z którym nie dałby sobie rady zapewne żaden z idących za nim kulisów chińskich, tym bardziej, jeżeli Japończyk znał sztukę dżu-dżitsu, a któryż jej nie zna!

W chwili, gdy pasażer z pociągu znalazł się w tej przecznicy, a gmach sztabu wojskowego widać już było z tej odległości, stało się coś dziwnego. Rozległ się trzask jakby nagle ktoś oddał strzał na środku pustej ulicy. Japończyk zachwiał się i sięgnął jeszcze ręką do kieszeni, zapewne po ukrytą tam broń, lecz nie zdążył jej już wydobyć. Dwaj kulisi bowiem rzucili się natychmiast na niego i przydusili go do ziemi, a podczas gdy jeden z nich zaciskał mocno palce na szyi napadniętego, drugi z zadziwiającą wprawą przeszukiwał jego kieszenie.

Dziwni to jednak byli napastnicy! Zwitek banknotów japońskich ,który znalazł się w pewnej chwili w rękach szukającego, odrzucony został na bok, jakby nie przedstawiał najmniejszej wartości. Natomiast jakieś papiery i broń napastnik szybko ukrył w kieszeni swojego ubrania.

Wszystko to nie trwało dłużej, nad dwie — trzy minuty i patrol wojskowy, który wyszedł był właśnie z gmachu sztabu i znajdował się teraz w odległości od napadniętego 200—250 metrów, nie zauważył niczego wcześniej, aż dopiero, gdy znalazł się na wprost nieruchomej postaci ludzkiej.

Kulisi zbiegli tak samo nagle, jak dokonali napadu, i rozwiali się ze zmrokiem zapadającej nocy.

— Zobaczno, tam leży zdaje się, człowiek — powiedział podoficer do jednego z idących za nim żołnierzy i nie czekając na spełnienie swego rozkazu, sam podbiegł do nieruchomej postaci. Po drodze potrącił jakieś papiery, które zaszeleściały. Podniósł je i w blasku elektrycznej latarki ujrzał zwitek yen. Musiało tego być wiele. Podoficer pokręcił głową, nic nie rozumiejąc.

— Ten człowiek nie żyje — powiedział żołnierz.

Podoficer ocknął się z zamyślenia i nachylił się sam nad nieruchomą postacią. Pobieżny przegląd przekonał go o tym, że żołnierz mówił prawdę.

— Zabierzcie go i zanieście do sztabu — rozkazał dowódca oddziałku. — Tu są pieniądze, które znalazłem — oddajcie to razem z tym człowiekiem.

W sztabie panował rwetes i bieganina. Przygotowano salę do mającego się odbyć posiedzenia. W pierwszej więc chwili, kiedy patrol wojskowy zjawił się znowu, oficer służbowy skrzyczał żołnierzy, ale na widok bezwładnych zwłok ludzkich, spoczywających na rękach żołnierzy, urwał na połowie słowo i spytał:

— Cóż to za człowiek?

— Znaleźliśmy go na ulicy, panie kapitanie — zaraportował żołnierz — i z rozkazu sierżanta przynosimy go tutaj.

— Czy tu jest kostnica? — obruszył się oficer. — Trzeba go było zanieść do szpitala, lub gdziekolwiek indziej.

Ale gdy w następnej chwili przyjrzał się uważnie człowiekowi zamordowanemu twarz poruszyła mu się nerwowo. Widać było, że jest ogromnie tym wypadkiem wstrząśnięty.

— Prędko, prędko — przenieście tego człowieka do tego pokoju — rozkazał. — Hej, tam, Makinuro — zawołaj natychmiast lekarza jaki znajdzie się w kasynie.

W chwilę później przy zwłokach znalazło się już kilkunastu oficerów z lekarzem sztabowym po środku. Wszyscy czekali wypowiedzenia się doktora, jakby jeszcze mieli nadzieję, że człowiek ten może ożyć.

— Strzał w plecy był dobrze wymierzony — podniósł głowę lekarz — kula przebiła główną aortę, krew wylała do wewnątrz i człowiek ten nie żył już w parę minut po wypadku.

— Czy pan wie, doktorze, kim jest ten człowiek? — powiedział jeden z oficerów. — To jest Kabukiza!

— Kabukiza?! — zawołano dokoła. — A więc to nie był zwykły napad!

— Gdzie ma papiery? Szukajcie papierów!

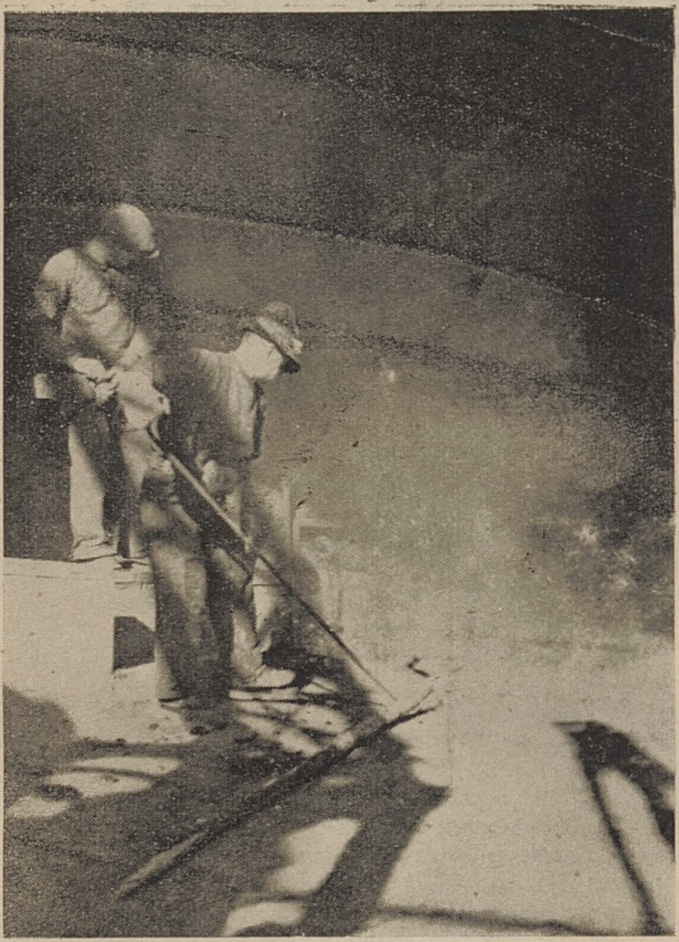
W jednej chwili przetrząśnięto wszystkie kieszenie zabitego. Papierów nie było.

— Aj, aj, jakaż to strata, panowie, jaka strata! — targał się za czub stary pułkownik. — Czy wy wiecie co ten człowiek przywoził? Noty, oficjalne noty rządów włoskiego i niemieckiego w sprawie Hainanu. Jeżeli dostaną się one do rąk naszych wrogów i zostaną opublikowane, narobi nam to ogromnie wiele kłopotu i opóźni wyprawę na Hainan.

— Panowie, to jest skandal! To rzecz niebywała! — gorszył się inny stary oficer sztabu .— O ćwierć kilometra od siedziby naszego sztabu ,w środku miasta, morduje się naszych ludzi. Tego w żadnym wypadku płazem puścić nie wolno Majorze — zwrócił się do jednego z oficerów — natychmiast proszę zarządzić poszukiwania za zbiegiem, obsadzić wszystkie drogi i wszystkie miejsca podejrzane, przeszukać wszystkie zakamarki i spelunki podejrzane. Śledztwo powinno ruszyć natychmiast z miejsca.

Major zasalutował i oddalił się. Lekarz nakrył martwe zwłoki Kabukizy prześcieradłem, oficerowie zaczęli przechodzić do następnej sali. Tutaj znowu poruszono sprawę ostatniego zamachu.

— Kto to mógł zrobić: Chińczycy czy biali? — myślał głośno stary pułkownik z białą kozią bródką. — Jeżeli to biali —



Hutnicy i górnicy

Czy piec wysoki żarem swym pali,
Że z nas ocieka pot,
Lub czy też dłonią twardą, jak z stali,
Ciężki dźwigamy młot.

Spełniamy życia twarde zadanie,
Gdzie los postawił nas,
Póki do pracy zdrowia nam stanie
I sił nie zetrze czas.

Do snu kołysał nas od powicia
Pracy spiżowy rytm,
Drogami trudu, do końca życia
Ziemski nas wiedzie byt.

Niebezpieczeństwem wciąż otoczeni
Nie znamy, co to lęk,
I chociaż pracą wielce strudzeni —
Obcy nam skargi jęk.

Wiernieśmy strzegli przez pokolenia
Wiary i ojców słów,
Hart nasz przyczynił się do spełnienia
Wolności złotych snów.

Wierni synowie tej śląskiej ziemi
Czujną trzymamy straż,
Wroga wstrzymamy piersiami swymi —
Wara, bo Śląsk jest nasz!

Aniela Wolna.



Ośrodek zdrowia dla dzieci — Peckham w Londynie

należy ich wysiedlić wszystkich z Pekinu, jeżeli Chińczycy, wszystkich podejrzanych wsadzić do obozu koncentracyjnego.

— Czy mamy tutaj jakich jeńców białych? — spytał znowu lekarz.

— Jest ich kilku.

— Nie rozumiem więc, po co ich się trzyma przy życiu i dopłaca do nich.

— Istotnie, zupełnie słusznie — powiedziano w różnych miejscach.

— Zwołać sąd wojenny, postawić ich przed trybunałem i skazać na śmierć.

— To jest jedyne wyjście — zdecydował najstarszy w tym gronie oficer z białą kozią bródką. — Kapitanie — zwrócił się do jednego z młodszych kolegów, panu polecam sporządzenie aktów oskarżenia przeciwko wszystkim białym, jakich mamy tutaj w naszych rękach.

— Rozkaz, panie pułkowniku.

— Czy tych dwoje Niemców nie odnaleziono dotąd? — zapytał znowu pułkownik.

Nikt nie umiał na to odpowiedzieć. Kapitan, który miał być prokuratorem w sprawach ludzi białych odezwał się dopiero po chwili, informując, że wszelkie poszukiwania spełzły na niczym.

— To źle, to bardzo źle — pienił się pułkownik. — Proszę jeszcze raz przeszukać wszystkie miejsca, gdzie istnieje podejrzenie, że znaleźć ich można. Czy poselstwa i konsulaty są śledzone?

— Tak jest.

— I ludzie ci nie zgłaszali się do konsulatu niemieckiego?

— Nie, ekscelencjo.

— Jest to dowodem, iż nie byli oni Niemcami. Ale wiem także, że nie wyjechali dotąd z Pekinu, przynajmniej ich nikt z naszych ludzi, nie widział, aby się wydalali. Zatem muszą tu być. Rozkazuję zarządzić ponowne poszukiwania za tymi ludźmi i mnie osobiście zdać raport.

A tymczasem dwaj kulisi, nic nie wiedząc, jaki skutek wywarło ich postępowanie z Kabukizą, biegli co tchu bocznymi uliczkami w stronę cesarskiego miasta, nie odzywając się ani słowem do siebie. Dopiero gdy znaleźli się niedaleko domu Sounda, jeden z nich powiedział:

— Postąpiłeś bardzo nie po rycersku, Czang, do nieprzyjaciela nie strzela się z tyłu.

— To wróg Chin, najeźdźca mojego kraju, master.

— To nic nie szkodzi, Czang. Nie powinieneś był tego robić.

Kulis zwiesił głowę i nie odpowiedział na ten zarzut. Widocznie wstydził się swojego postępku. Po chwili dopiero rzekł:

— Już się to teraz nie da naprawić, master.

— No, to pewna. Nie mniej żałuję, że zamiąst innego, wziąłem ciebie do tej funkcji. Bardzo nieładnie postąpiłeś, Czang.

Na tym skończyła się rozmowa dwóch kulisów. Weszli w drzwi domu Sounda i tutaj jeden z nich został w pierwszej izbie, drugi zaś podążył dalej. Minął parę pokoi i w końcu znalazł się w obszernym prawie salonie, gdzie za wielkim biurkiem siedział „jałmużnik" Sound. Był to już człowiek starszy, trochę łysy i całkowicie siwy, o szlachetnych rysach twarzy, ale wyrażających silną wolę i energię.

— Ach, to pan, kapitanie — powiedział Sound, podnosząc głowę na dźwięk wejścia kogoś obcego. — I cóż, udało się?

— W stu procentach, oto papiery, majorze.

Sound wziął dokumenty z rąk Fawceta i chwilę ważył je na ręce.

— Nie mieliście żadnych przeszkód?

— Prawie nie. Ale zaszła rzecz brzydka, pułkowniku, której się po prostu wstydzę — odrzekł kapitan.

— No, cóż tam takiego?

— Zamiast Corbina, tego Francuza, co to dopiero do nas przybył, wziąłem z sobą dla lepszej pewności Czanga. Corbin dostał inną funkcję. I oto Czang, nie hamując się znać wcale, uśmiercił Kabukizę strzałem w plecy.

— Fuj, jakże można było pozwolić na taką grę nie fair?

— Stało się to tak nagle, majorze, że nie mogłem temu przeszkodzić.

— To szkoda, wielka szkoda, kapitanie. No, ale trudno, stało się to już i nie odstanie się. Lecz wiedz pan o tym, że śmierć Kabukizy wywoła na pewno wielkie represje władz japońskich zarówno przeciwko białym, jak i przeciwko podejrzanym Chińczykom.

Kapitan Fawcet był naprawdę zmartwiony szczerze, lecz następnie uspokoił się rozumowaniem, że lepiej, iż Kabukiza zginął. Był to bardzo niebezpieczny człowiek i wiele złego mógł im wyrządzić tutaj, gdyby się był zatrzymał czas dłuższy.

— No, nie martw się pan, może jakoś damy temu radę. Idź pan wypocząć, a mnie zostaw tutaj samego. Pragnę przejrzeć te papierki. Gdyby była jaka wiadomość z Szanghaju, proszę mi ją natychmiast przysłać. I odwrotnie, gdy wiadomości przez pana przyniesione będą zawierały coś naprawdę niezwykłego, ja pana zawiadomię.

Kapitan skłonił się i wyszedł.

XXXIII.

MALEŃKA LOU

Maleńka Lou Mercier stanęła nareszcie twardą nogą na stałym gruncie Pekinu. Była trochę zdziwiona, że kontrola tutaj jest tak obostrzona, jak chyba nigdzie indziej na terenach chińskich przez Japończyków okupowanych, ale pomyślała sobie, że na to wpływa obecność japońskiego sztabu i przestała się dziwić.

— Przy pani przyjechała tylko do Pekinu? — rozległ się naraz tuż nad jej głową głos jakiegoś cywilnego Japończyka.

Mała Lou w lot się zorientowała. Wiedziała dobrze, że na wszelkie pytania należy odpowiadać bez zająknienia i nie zatajać nic, ani też nie objawiać żadnego niezadowolenia, że ktoś o coś pyta. Policja japońska jest bardzo zawsze ciekawa. Cóż dziwnego — wszystkie policje na świecie są ciekawe, chociaż japońska... pewnie najciekawsza.

— Tak, panie — odpowiedziała bez zająknienia.

— A co pani będzie robiła w Pekinie?

— Mam hodowlę psów rasy pekińskiej w Nogaja, wysyłam je białym barbarzyńcom do Europy i Ameryki. A ponieważ się dowiedziałam, że psy te obecnie są bardzo tanie w stolicy ich rodu, więc przyjechałam. Czy pan chce widzieć moje dokumenty?

— Nie, wierzę pani na słowo. Ale myślę że posiada pani odpowiedni papier na to, iż zajmuje się hodowlą tych miłych stworzeń w Nogaja?

— Ależ naturalnie, oto ono, proszę...

Mała Lou wyjęła szybko jakiś papier z zarękawka obi i podała go ciekawemu panu. Rozmowa powyższa odbywała się w języku japońskim z dużym dodatkiem słów angielskich, zwłaszcza w tych miejscach, które wymagały ścisłego określenia jakiegoś wyrazu fachowego lub specjalnego.

— Jak długo zamierza pani zamieszkać w Pekinie? — zwrócił się znowu ciekawy pan do maleńkiej Japoneczki, zwracając jej papier.

— Sama nie wiem, nie potrafię tego określić, ale przypuszczalnie tak długo, dokąd zatrzymają mnie tutaj moje interesy.

— A gdzie pani zamieszka?

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

BOHDAN LEKSZYCKI

Przeklęty spadek

(8

POWIEŚĆ SENSACYJNA

— A jednak ma, jakkolwiek nie wykryłem jeszcze nic konkretnego. Pokaże mi później jego facjatę i rysopis, na razie potrzebuję innego rodzaju pomocy. Ilu macie ludzi do dyspozycji?

Mr. Stovee spojrzał nań z zaciekawieniem.

— Czterech — odparł, ale zanim zdążył coś jeszcze powiedzieć, inspektor popchnął go do drzwi, wołając:

— A więc, staruszku, potrzebuję oprócz tego natychmiast sześciu konstabli.

— Ależ, do diabła, powiedzcież przynajmniej: po co?

Stary policjant był serio zagniewany.

— Musimy przecież uwolnić tę małą O'Sourke — uśmiechnął się mr. Thompson.

Podinspektor wytrzeszczył oczy.

— Gdzież ona jest, szatanie?! — wykrzyknął.

— Jazda, stary! Weźcie ludzi i otoczcie willę dr. Semmler'a w ogrodzie Portugal Street w Cork. Ostrożnie, bo to dobre ptaszki! Gdy usłyszycie strzał, wtargnijcie do wnętrza i aresztujcie wszystkich obecnych. Good bye!

— Diabeł wcielony! — wykrzyknął podniecony mr. Stovee.

W kwadrans później jedenastu funkcjonariuszy bezpieczeństwa pędziło samochodem na wyznaczone miejsce.

Inspektor tymczasem wskoczył do przejeżdżającej taksówki, polecając zawieźć się przed jedną z restauracyj, znajdujących się w pobliżu zagadkowej willi. Przesadziwszy kilka płotów, ruszył przez ogołocone z plonów pola i wkrótce stanął przed ponurą ruderą, której struktura świadczyła jednak wymownie o dawnej świetności.

W pobliżu nie było żadnej lampy, a księżyc zniknął właśnie za chmurami. Inspektor obszedł dookoła ogród, nie starając się kryć. Oparkanienie było zupełnie zrujnowane, a ogród zaniedbany i porosły wysokimi chwastami. Z jednej strony świadczyło to, że upodobania właściciela skierowane były w innym kierunku, z drugiej zaś ogromnie ułatwiało detektywowi przekradanie się do willi.

Zatrzymawszy się w gąszczu zniszczałych bzów, mr. Thompson obserwował dom.

— Jeżeli Fred nie zbłaźnił się, — rozważał — przyznać trzeba, że dr. Semmler stosuje dobrą zasadę: płotu nie naprawia, stróża, ani psa nie trzyma, aby w ten sposób wpoić we wszystkich przekonanie, że nie tylko nie ma nic do ukrywania, ale także, iż zupełnie zubożał. Lecz — jednocześnie wynika z tego, że porywane dziewczęta ukrywa w takim miejscu, gdzie dostęp dla niewtajemniczonych jest albo całkiem niemożliwy, albo przynajmniej niezwykle utrudniony. Może nawet w ogóle nie ukrywa ich w willi...

Dom był jednopiętrowy; dwa okna na piętrze jaśniały jeszcze światłem. Mr. Thompson wdrapał się na rozłożysty kasztanowiec, aby zajrzeć do wnętrza. To, co ujrzał — wprawiło go w zdumienie.

Nad zwykłym sosnowym stołem stał pochylony mały, łysy człowiek. Od czasu pobytu nad morzem zmienił się nie do poznania. Twarz jego tak wyschła, że wywierała wrażenie trupiej głowy, obciągniętej skórą. Wielkie, głęboko osadzone oczy płonęły niesamowitym blaskiem. W tej chwili starzec — mr. Thompson teraz dopiero uświadomił sobie, że człowiek ów musiał liczyć co najmniej 70 lat — wypił małą szklaneczkę jakiegoś niebieskiego płynu. — Przez chwilę stał nieruchomo, po czym zaczął biegać po pokoju, na którego umeblowanie, oprócz stołu składało się zaledwie połamane żelazne łóżko, stara szafa i długa sosnowa ława. Nie ulegało wątpliwości, że „stary" jest niezwykle zdenerwowany.

— Milutki jest dr. Semmler... — zamruczał inspektor, szybko zsuwając się w dół po pniu drzewa, dostrzegł bowiem, że na ulicy zatrzymał się cicho samochód, a sznur ciemnych postaci rozsypał się dokoła ogrodu.

Mr. Thompson przedostał się na tyły willi. Nie było tam ani jednego okna. Postanowił dostać się do wnętrza domu przez mały otwór w dachu, prowadzący, jak przypuszczał, na strych.

Znalazłszy się u węgła, pochwycił oburącz rynnę i korzystając z wyrw w ścianie, powstałych wskutek kruszenia się cegieł, z kocią zręcznością wdrapał się po okap dachu. Sprawa dostania się na dach okazała się jednakże o wiele trudniejsza, niż wydało się to z dołu. Inspektorowi, z trudem tylko utrzymującego równowagę, nie pozostało nic innego, jak chwyciwszy się krawędzi dachu, zaryzykować życie i wykonać karkołomny przerzut na resztki wmurowanej w ścianę żelaznej drabiny, celowo widać usuniętej od dołu aż ponad linię pierwszego piętra. Nie miał nadto najmniejszej pewności, czy dwa pozostałe szczeble, od dziesiątków lat żarte przez rdzę, wytrzymają jego ciężar...

Z właściwą sobie determinacją, zdecydował się i skoczył. Prawa jego ręka chwyciła próżnię, lewa jednak natrafiła na szczebel — i inspektor z bijącym z emocji sercem wgramolił się na dach. Po chwili z trudem wtłaczał swój masywny korpus w wąski i mroczny otwór.

— Nie masz żadnej gwarancji, mój Ryszardku — mruczał — czy ci ktoś na przykład nie odrąbie siekierą głowy...

Mr. Stovee, ukryty za zbutwiałym palem płotu, obserwował z podziwem jego brawurowy skok.

— Diabeł... Diabeł, nie człowiek... — szeptał w podnieceniu.

Mr. Thompson tymczasem przekonał się z rozczarowaniem, że znalazł się w krótkiej rurze żelaznej, której wylot zamyka wentylator. Miał już wracać z niczem na dach, gdy światło jego latarki padło na śruby, którymi wentylator przymocowany był do rury.

Spróbował jak najciszej odkręcić owe śruby przy pomocy zabranych z sobą wytrychów, których zęby wcale nieźle nadawały się do tej czynności. Trzy śruby udało mu się odkręcić, jakkolwiek złamał przy tym pięć wytrychów, czwarta jednak śruba nie ustępowała. Zniecierpliwiony, szarpnął wentylator i oderwał go, wywołując głośny trzask.

Nasłuchiwał przez chwilę, czy hałas nie zwrócił czyjejś uwagi, wreszcie uspokojony, wysunął się na zewnątrz i złożywszy na dachu, na powrót zagłębił się w otwór. Pełzając we wnętrzu rury, zgiętej w kształcie litery S, mr. Thompson dotarł wreszcie do jej wylotu. W połowie drogi spostrzegł światło, coraz bardziej zyskujące na sile w miarę zbliżania się do otworu.

Ostrożnie wysunął głowę, rozglądając się dokoła.

Znajdował się nad dość obszerną salą, pozbawioną okien, lecz obitą kosztownymi makatami. Na środku stał brązowy trójnóg, w którym płonęła jakaś ciemna sub-



W pływalni Molitor w Paryżu odbył się konkurs piękności kostiumów kąpielowych. Na stole sędziowskim siedzą dwie nagrodzone uczestniczki



Sensacją ostatnich wyścigów konnych w Auteuil pod Paryżem była obecność Marleny Dietrich, którą widzimy w chwili rozdawania autografów

stancja wydzielając przyjemną, dziwnie oszołamiająca woń. Ze sklepienia, wyobrażającego kopułę niebieską, zwieszał się olbrzymi, kryształowy żyrandol; w rogach sali stały wielkie, brązowe wazony, pełne świeżego kwiecia. Obok trójnogu, w podłodze, wyłożonej majolikową mozaiką, rozciągał się płytki basen z opalowego szkła. Woda wypełniająca go, miała odcień różowawy. Opodal stało ogromne łoże, zarzucone mnóstwem różnobarwnych poduszek. Tu i tam przykucnęło kilka jaspisowych taborecików.

W sali nie było nikogo. Inspektor zamierzał przywiązać sznur do zawiasa mosiężnej pokrywy, którą, zamykano zapewne otwór wentylatora, i zsunąć się po nim na dół, lecz nagle przez drzwi, mieszczące się w ścianie, kryjącej rurę powietrzną, wepchnięto na salę jakąś nagą kobietę.

W ślad za nią wszedł wysoki, chudy osobnik w brudnym szlafroku. Zaciskał w dłoni gruby bykowiec. Kobieta trwożnie obejrzała się na oprawcę, a mr. Thompson omal nie krzyknął. Była to Daisy...

Inspektor, trzymając prawą ręką sznur, przywiązany do zawiasa, ostrożnie wygramolił się z otworu, po czym usiadł w wylocie rury i wydobył rewolwer.

Z pozornym spokojem patrzył na przygotowania do egzekucji, ale twarz jego miała wyraz twardy i zacięty, a ręka, trzymająca niezawodny browning, drżała ze wzburzenia.

Dziewczyna, pchnięta brutalnie, upadła na kolorową posadzkę; brudas stanął nad nią i podnosząc wgórę bicz, przemówił jadowitym szeptem.

— Ośmieliłaś oprzeć się panu doktorowi! Czy wiesz, że może on kazać cię obedrzeć ze skóry, że może kazać cię ćwiartować i przypiekać na wolnym ogniu? Czy zdajesz sobie sprawę, że nie ma na świecie takiej mocy, która wyrwałaby cię z moich rąk, jeżeli on skinie tylko, aby poddać cię najwymyślniejszym torturom?

Twarz jego wykrzywiła się potwornym uśmiechem sadysty.

— Na razie posmakujesz bicza, który zapewne wpędzi ci nieco rozumu do głowy!

Rzemień świsnął w powietrzu i ohydnie, mlaszcząco opadł na nagie plecy dziewczyny. Z żałosnym jękiem zwinęła się na podłodze, rozpaczliwie zasłaniając się rękami. Na białej jej skórze wystąpiła gruba, sina pręga.

Oprawca ponownie podniósł do góry bykowiec, z okrutnym zadowoleniem wpatrując się w przerażone, zalane łzami oczy dziewczyny. Lecz zanim zdążył zadać drugi cios, gdzieś w górze rozległ się wystrzał rewolwerowy i w tej samej chwili spadła na sadystę jakaś wielka ciemna masa, przytłaczając go bezlitośnie do podłogi.

Brudas, nieprzytomny niemal z trwogi, zdołał unieść głowę i ujrzał nad sobą złowrogą, wykrzywioną gniewem twarz jakiegoś nieznajomego mężczyzny. Nagle, poczuł na plecach ostry, nieludzki ból i — zawył. Mr. Thompson skoczył na pomoc dziewczynie — porwał bykowiec i począł nim bić oprawcę. Siekł, aż pot zalewał mu oczy, nie słysząc dzikich ryków, nie widząc, że w drzwiach stłoczyło się kilkanaście dziewcząt, że zdumieniem i trwogą przyglądających się niepojętej dla nich scenie.

Oprzytomniał, ujrzawszy, że oprawca Daisy omdlał. Odrzucił tedy bykowiec ciężko oddychając.

W tej samej chwili potężny cios w głowę powalił inspektora na ziemię. Pociemniało mu w oczach, lecz wiedziony instynktem samozachowawczym, powstał błyskawicznie i odskoczył w bok.

Jakiś olbrzym o niezwykłej muskulaturze atakował go, pochyliwszy głowę jak buhaj. Inspektor nie miał czasu wydobyć rewolweru: potężna pięść napastnika omal znowu nie ugodziła go w głowę. Uskoczył w bok, ale mimo to otrzymał cios w łopatkę.

Było to przecież ostatnie uderzenie, jakie zdołał zadać mu olbrzym; mr. Thompson odzyskał już siły i krążąc dokoła napastnika, zasypał go gradem dobrze obliczonych ciosów, jednocześnie zręcznie unikając jego żelaznej pięści.

Walka nie trwała długo: olbrzym ugodzony w żołądek zwinął się z bólu, a inspektor, wykorzystując chwilową przewagę, błyskawicznym knock-outem rozłożył go na podłodze. Głowa siłacza głucho stuknęła przy upadku; z ust jego i nosa popłynęła krew.

Gdzieś w głębi domu rozległ się odgłos ciężkich stąpań wielu par nóg — i w sali ukazały się nagle błękitne mundury policji. Na czele szedł podinspektor Stovee, trzymając za kołnierz dr. Semmler'a, trzęsącego się jak w febrze i kłapiącego z przerażenia resztkami żółtych zębów. Wyglądał jak połamany, groteskowy manekin.

Podinspektor, ujrzawszy mr. Thompsona, podszedł do niego, ze zdumieniem patrząc na dwóch mężczyzn, leżących na podłodze i broczących krwią.

— Święci Pańscy !— wykrzyknął. — A tych kto tak pięknie urządził?! Wy? Chyba to niemożliwe?!

Inspektor skinął głową i — zupełnie wyczerpany — osunął się po ścianie, o którą był oparty, na posadzkę.

Ale oto przypadła do niego Daisy w jakiejś naprędce narzuconej sukni. Uniosła jego bezwładną głowę i złożyła ją na swych falujących piersiach, miękko gładząc zwichrzone, polepione potem włosy. Z oczu jej, więcej, niż kiedykolwiek przypominających błękit niebios, spłynęła zwolna wielka łza.

XVI.

ZJAWA CLAUDE MASSKE'A

Siedząc w wygodnym fotelu podinspektora Stovee'a, mr. Thompson z zaciekawieniem słuchał opowiadania Daisy. Dziewczyna mówiła niespodziewanie spokojnie i rzeczowo, ale uroczy rumieniec nie opuszczał jej ślicznej, na wpół jeszcze dziecięcej twarzyczki.

— Gdy ocknęłam się z narkotycznego uśpienia — zaczęła swą krótką opowieść — znajdowałam się już w owej sali. Leżałam na łożu wśród kolorowych poduszek; wkoło mnie usadowiło się dwanaście młodych i pięknych dziewcząt, patrzących na mnie ze współczuciem. Widząc te dobre i łagodne spojrzenia, nabrałam nieco otuchy i zapytałam, gdzie się znajduję.

Jedna z nich, zniżając głos, odparła:

— Nie lękaj się, mała, nikt ci tu nie będzie dokuczał, trzeba tylko być uległą wobec „starego". Jeżeli będziesz umiała z nim postępować, obsypie cię klejnotami, łakociami, czym tylko zapragniesz.

Domyśliłam się roli, jaką chciano mi narzucić, a resztę dopowiedziały mi apatyczne, blade twarzyczki moich współtowarzyszek niedoli. Nie rozpaczałam jednak byłam pewna, że pan mr. Thompson, wyrwie mnie z tego ohydnego domu.

Kiedy odzyskałam trochę równowagi, dziewczęta wykąpały się ze mną w basenie — woda, jak się dowiedziałam, miała codziennie inny zapach — poczem natarły mnie wonnymi olejkami i przybrały w ol-

(Ciąg dalszy na str. 573)

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

NA SZCZYTY

Zbudź się o duszo ze sennej martwoty
Rozprostuj skrzydła i spróbuj ich mocy!
Śmielszym niech będzie ponad inne loty
Twój lot w wyżyny, w miraż słońca złoty!
Niech pozostanie za tobą cień nocy...

Poniechaj wszystko, co płaskie i marne
Na szczytach szukaj swych myśli i dążeń!
Niech się unoszą, jak dymy ofiarne
W ciszy pogodnej, pragnieniem mocarne.
Nieś je o duszo, jak wierny chorąży!

Bólu, ni trudu nie mieszaj z marnością,
Bo z ziemi wzrosły wszystkie bóle, trudy.
I uciec od nich byłoby słabością —
A znieść je trzeba z człowieka godnością,
Zanim szczęśliwej dopłyniem ułudy...

Na szczytach spocznij, o duszo strudzona!
Niech słońce wszystkie twe rany uleczy...
Zagarnij snopy blasków na ramiona —
A kiedy dotkniesz stopą ziemi łona,
Łatwiej ci przyjdzie dźwignąć trud
człowieczy!

Zofia Borucka.

DOBRE RADY PANI ZOFII

PROSZĘ PISAĆ CZĘŚCIEJ

„Waldy". Przypomniał Pan sobie łaskawie „Krainę". Miałabym życzenie, aby częściej P. popularne imię rozbrzmiewało z naszych łamów. Z góry wierzę w poprawę przemiłego „Krainiaka". Wujek Janusz odwzajemnia się się Panu szczerym pozdrowieniem, a ode mnie proszę przyjąć przyjazny uśmiech i mocny uścisk dłoni.

A teraz oddaję Panu głos:

„Księżniczko Henrietto"! Mimo nawału pracy na eskapady samochodowe zgadzam się. Pozostaje nam zatem tylko umówić się co do terminu, kierunku i czasu. Po drodze zahaczę o Będków i porwę Irę — zgoda? Lubię Panią, musi być Pani rozkoszna, bo jeśli jesteście z „Bajką" koleżankami, to i musicie być do siebie podobne. Proszę przyjąć serdeczny uścisk dłoni.

„Bajko"! A więc to tak? Wiem, wiem dużo... dużo... Proszę zrób kiedy wypad znów do nas, blondasku! Wszyscy Cię często mile wspominamy. Jesteś naszym słoneczkiem i pociechą. Inż. P. poznałem osobiście i... jestem na wszystko przygotowany. Całuję gorąco Twe łapki.

„Halszko"! Było morowo, szkoda, że tak krótko trwała ta nasza beztroska. Czy wyjeżdżacie Państwo do Krynicy? A Władek widział się z pułkownikiem? Bardzo ciekawy jestem dowiedzieć się przebiegu ostatnich spraw. Łączę wyrazy szczerej życzliwości.

Dla całej „Krainy" miłe pozdrowienia i życzenia: Wesołych wakacji!

CZY SNY SĄ JUŻ W STADIUM REALIZACJI?

„Smutna i brzydka Irka". Lubię Ciebie bardzo, kochany Dzieciaku! Opis sądu nad wierszem jest kapitalny, może go (tj. wiersz) prześlesz Wujkowi Januszowi. A nuż ocena będzie pomyślna i okaże się, że Maryśka nie miała słuszności, wtedy tryumf! Ale nie przesądzajmy sprawy.

Czy sny są już w stadium realizacji? Jeżeli tak, to napisz drugi taki serdeczny list z zawiadomieniem, kiedy zjawisz się w Żninie, abyśmy nie minęły się w drodze.

W obawie o Twą fryzurę przesyłam Ci tylko kilka mocnych całusów. Pa!

„Samotną Idealistkę" mocno całuję wzamian za „milutkie pa".

„Zo-mulatka" przyjmie ode mnie moc serdecznych pozdrowień.

„Zaza". Nie daruję ci tych „bazgrołów". Na wakacje przyjedź lepiej do mnie.

„Marzenko z Ameryki"! Ja błagam... Ciebie napisz no do mnie, bo nie wytrzymam... i i sama napiszę!... Czy Ty rzeczywiście myślisz, żem chłopiec... na litość Boską gdzie tam... Całuję.

„Młody Las". Za pozdrowienia ślę moc... całusów.

„Roześmiane oczy" może skrobną do mnie kilka słów. Pisałaś w komunikacie, że mi zazdrościsz talentu... Nie ma czego bo i tak wierszy nie „klecę", widocznie pomyliłaś mnie z kim innym... ale... napisz kilka słów.

„Irusiu z Wołynia!" wiedz, żem zakochana... w Tobie... ach w Twoich wierszach też...

„Maryśka Klafaczyńska" — Jak z „antypatią" ha, ha, ha, ha! cudeńka... czy nie. Mocno Cię kochanie całuję.

„P. Kozieł" — gdzie Pan się obraca... Wszystkich innych... mocno... pozdrawiam.

POD ZNAKIEM WAKACJI

„Pensjonarka". Wakacje w przymierzu ze słońcem i radością — to mi się podoba. Życzę przyjemności i... nie przeszkadzam. Korzystaj z wakacji, bo szkoła dopiero za kilka tygodni przyjmie Cię w swe progi. I ja pokochałam Cię od pierwszego spojrzenia... na list. Przechodzę do komunikatów:

„Wesoły Dowcipniś w mundurze" — dziękuję za list i czekam na drugi, oraz przesyłam dużo, dużo serdeczności.

„Samotna dusza". Czy pamiętasz manewry i balkon, miłe wspomnienia i serenada, prawda?

„Wesoła Maruszko". Całuję mocno Twoją śliczną buzię.

„Anna". Pozdrawiam Ciebie, Ty śliczna czarnulo!

MOŻE MI WYJAŚNISZ?

„Indywidualista". Czy zżyłeś się już z „Rodzinką", miły Chłopcze?

Dziękuję Ci uprzejmie za gotowość usług i zapewniam, że nie omieszkałabym z nich skorzystać, gdyby nadarzyła się taka okazja, ale raczej nie będzie jej, przynajmniej nie w bieżącym roku.

A jakich to mamy wspólnych znajomych? Chyba krainiackich, bo o innych nic nie wiem.

Łączę serdeczny uścisk dłoni i przekazuję „Rodzince" Twoje pozdrowienia.



„Lillavati" przedstawia „Krainie" swą oryginalną twarzyczkę.

KTO POŻYCZY?

„Biały Puszek". Przyjęcie Ciebie do Krainy — toż to nie moja zasługa, lecz Twego przemiłego sposobu pisania równiutkimi, czystymi liniami, które wzbudzają zaufanie. Cieszę się z Twego zadowolenia, „Krainka" jest gościnna i szczera, przekonasz się o tym jeszcze lepiej. Posyłam Ci wesoły uśmiech i zwracam Cię „Rodzince":

„Rabuś" — Dziękuję za całus. Oddaję sto, więc z procentem. Będę w Gdyni, może się poznamy.

„Marzenka z Ameryki". W Ameryce mam krewnych. Może napiszesz, a opiszę Ci wszystko.

„Belfer". Czy nie jesteś A. M. z Dzisny?

„Latorośl K s ubska". może skrob i s chciałabym poznać gwarę kaszubską.

„Łobuz w spódnicy". Zainteresowałam się Tobą, napisz — a na pewno się zrozumiemy, bo i ze mnie taki duży łobuz.

Halo, Krainiacy! Może ktoś z Was posiada książkę „Życie zaczyna się jutro?" Byłabym bardzo wdzięczna za wypożyczenie.

RĘCZĘ ZA ODPOWIEDŹ

„Młoda Lublinianka". A to nieładnie, że miłe Krainianki pomijają Twe listy milczeniem. Nie martw się jednak Dzieciaku, i one o Tobie przypomną sobie, ręczę za to.

Premię już otrzymałaś, prawda? Hm, tylko jeden całus — w zamian za to, aby natchnąć Cię odwagą, przesyłam całą furę najpromienniejszych uśmiechów. Przypomnę jeszcze, co trzeba, Krainiankom, od których czekasz daremnie odpowiedzi.

„Charkowianko!" Czemu nie dajesz o sobie żadnej wiadomości, a ja tak długo czekam. Czy na próżno? Nie zapominaj o mnie!

„Wiedźmo z debry"! O, nie jesteś słowna, przyrzekłaś, że odpiszesz.

Całej Krainie — miłe buziaki. Napiszcie i do mnie coś, dobrze?

HALO, WILNIANKI!

Zaira. Całym sercem raduję się z Tobą z powodu korzystnej zmiany w Twym życiu. Dojrzewasz duchowo, kochana Dziewczynko, stajesz się bogatsza w doświadczenie i w wartości serca. Tak właśnie trzeba patrzeć na świat i ludzi. Czarne i złe myśli nie przyjdą, nie obawiaj się, bo słońce masz w duszy.

Szczerze porozmawiać? Jak najchętniej, o ile podołam odpowiedziom. Jak możesz wątpić w moją sympatię! Zawsze myślę o Tobie z dużą serdecznością i tak bardzo zawsze jestem spragniona wiadomości od Ciebie. Cieszy mnie Twoja przyjaźń ze „Złotym Dzwoneczkiem", bo to miła, serdeczna dziewczynka.

Wzruszyło mnie zakończenie Twego listu. Naprawdę nie potrzebujemy się bać żadnej burzy dziejowej. Nasz entuzjazm i ofiarność nie ma granic. Twoje zapewnienie upewniło mnie w tym. Ściskam mocno Twą dłoń, dzielna dziewczynko!

Komunikaty:

Halo! Która z Pań „Krainianek" mieszka w Wilnie, a chciałaby się ze mną zapoznać, proszę napisać. A może tak „Wilnianka", albo „Uśmiech Szatana"?

Całej „Kraince" posyłam moc uśmiechów jasnych jak wiosenny poranek, oraz dołączam prośbę o liściki.

PRZEDSTAWIAM NOWĄ KRAINIANKĘ

„Farida". Czekam kochanie na te zapowiedziane rewelacje, a na razie życzę Ci tylko miłego życia w nowym środowisku. Pragniesz zaprezentować Krainie nową wielbicielkę tego naszego „zaczarowanego kącika"? Twojej prośbie czynię zadość.

„Lamikaja", bo tak chce się nazywać nasza nowa siostrzyczka, ma lat 21, jest wysoka, bardzo zgrabna i śliczna (tyle co do wyglądu

zewnętrznego). Dalsze cechy — to marzycielstwo, umiejętność gry na fortepianie".

„Lamikaja" dołączyła kilka słów do listu „Faridy". Oto one:

...Chcę w Krainie znaleźć kogoś miłego, z kim mogłabym nawiązać serdeczną nić przyjaźni, a ponieważ interesują mnie w Krainie wszyscy, nie wymieniam nikogo; każdy list będzie radością, więc kto napisze pierwszy?...

Całej Rodzince najmilsze uśmiechy przesyła „Lamikaja".

Komunikaty „Faridy" podaję poniżej:

„Izydo", siostrzyczko kochana, jak sprawa serca i Misia? Czy inż. K. jest jeszcze w S.? Całuję śliczne oczęta.

„Tyran" czy bardzo gniewasz się na mnie? Nie odpisałam, bo wyjechałam i przez to adresu nie mam, skrobnij choć kartkę i podaj adres, a odpowiem. Zasyłam serdeczne pa!

„Sławo". Ściskam łapki, list się „robi".

„Henry". Czy to ciepło tak Cię rozleniwiło, że śpisz, czy może też groźny „Fakir" pogrążony w kontemplacji?

Pozdrawiam „Włościankę", „Agronoma", „Armeńczyka", „Pella", i całą Krainkę. „Lamikajo" bywaj! Farida.

DLA WSZYSTKICH MAM WIELE ŻYCZLIWOŚCI

„Maryś z maleńkiego dworku". Jak można Dziecino w ten sposób brać sprawę? Byłam doprawdy zdumiona Twoim podejściem do tej kwestii. Wszystkich Was, należących do „Krainy traktuję z równą życzliwością, a czy z czasem wyrobi się bliższy i serdeczniejszy kontakt, to już jest zależne od danej jednostki: czy pisze często, otwarcie i szczerze, o wszystkich absorbujących ją sprawach, czy podchodzi do mnie z zaufaniem i serdecznością.

Komunikaty Twoje zamieszczam.

„Ben Aliba" — proszę napisać, a postaram się wytłumaczyć moje milczenie. Milusio pozdrawiam.

„Błędny Ognik". Miły Chłopcze, nie wiesz pewnie, ile prawdziwej przyjemności sprawiasz mi swą korespondencją. Prośbę spełniłam. Życzę jak najszybszego opuszczenia łóżeczka i powrotu do zdrowia.

„Krainę" — ślicznie pozdrawiam.

„WRÓCIŁAM JUŻ..."

„Blanka". Wydobyłam właśnie z teczki i list Twój i kartę. Ależ, Dziecino, wiesz dobrze, jak bardzo kocham wszystkich „Krainiaków", nie możesz wątpić w to. To też cieszyłabym się niezmiernie z Twojej wizyty w redakcji. Może w sierpniu? Czy nie uważasz, że zamieszczenie Twego skromnego wierszyka byłoby nieskromnością z mojej strony?

Cieszysz się, że „Krainiacy" tacy skorzy do „Łańcucha". I mnie to cieszy, tym więcej właśnie, że inicjatywa wyszła od Ciebie.

Minęły już Twoje wakacje, a i pobyt w Wilnie również. Mam nadzieję, że dotrzymasz przyrzeczenia i napiszesz dużo, bogata w nowe wrażenia, no i wypoczęta. Odwzajemniam się najcieplejszym uśmiechem.

Pani Domagałowej dziękuję za pozdrowienia. Postaram się pomyślnie załatwić, będę pamiętała. Pozdrawiam serdecznie.

P. W. Z. dziękuje Tobie, Blanko za życzenia, pamięta dobrze i przesyła dużo serdeczności dla Ciebie, Marysi K. i wszystkich koleżanek.

Komunikaty „Blanki" przed podróżą:

„Smutna Dziewczynka znad Gopła". Pozdrawiam Cię serdecznie, Smutna Panienko. Napisz do mnie, a chętniej jeszcze poznałabym Cię osobiście. Mieszkamy niedaleko siebie.

„Yoshimura". Napiszę po urlopie, t. j. coś około pierwszej połowy lipca. Pozdrawiam.

„Tyran". Odwzajemniam.

„Marzycielka". Nie jestem tą, ale możesz pisać.

„Cudzoziemka". Przyznaję rację, ale i mnie potrącają raty na P. O. P. i mimo to jeszcze zawsze starczy na szlachetny cel. Miłe pozdrowienia.

Halo, „Krainiacy"! Miałabym wielką ochotę na przejażdżkę motocyklową, może który z Panów zawadzi o Gród Lecha. Czekam!

Wszystkim zainteresowanym buzi.

Komunikat „Blanki" po powrocie z Wilna:

Halo! Zainteresowanym donoszę, że wróciłam już z urlopu i znów „urzęduję". Skończyły się złote dni wolności, skończyły się wakacje, lecz jestem bardzo zadowolona z odniesionych wrażeń, które pozostaną długo w mojej pamięci. Piszcie do mnie, czekam na Wasze liściki, a tymczasem serdecznie Was pozdrawiam i... kocham Was oraz całą „Krainę".

SPORT, WĘDRÓWKI...

„Kiki z Warszawy". Nie, nie łatwo zapominam o przemiłych „Krainiakach". Nie bądź zbyt skromną, Dziewczynko! List Twój jest wcale ciekawy. Konna jazda i prowadzenie samochodu toż to pasjonujące rozrywki, które mogą wzbudzić zazdrość niejednej osóbki, nie wyłączając i mnie, siedzącej cierpliwie przy biurku redakcyjnym. Czegóż jednak nie czyni się dla najmilszych!

A może już wędrujesz po malowniczej Bukowinie? Proszę o skreślenie kilku słów. Koniecznie. A może zdążyłaś już zapoznać się z jaką „Krainianką"? Miło by mi było dowiedzieć się coś o tym. Serdecznie pozdrawiam i życzę „siła" wrażeń — jak powiedziałby Zagłoba.

Zamieszczam komunikaty:

„Bajko", przeczytałam Twój komunikat. Masz chęć, to napisz list — odpowiem na pewno. Jeżeli po wakacjach będziesz w Warszawie, to bardzo proszę o odwiedziny. (adres u p. Zofii).

„Leśna Dziewczyna". Imię rzeczywiście — Krysia, ale pewnie myślisz o kimś innym, gdyż żadnej Steni nie znam. Przesyłam Ci pozdrowienia.

„Słodka Rene". Czy znasz Józika W. z Nakła?

ŻYCZĘ DUŻO RADOŚCI

„Królowa Gizella". Z pewnością słowa moje dotrą do Ciebie, rozkoszującej się pięknem naszej przyrody wśród lasów nad uroczo położonym jeziorem bnińskim. Używaj swobody, słońca i wody, póki „zegar zatrzymany" nie liczy godzin i dni.

Za pamięć o mnie w wędrówkach po Poznaniu serdecznie dziękuję Tobie i „Maleńkiej Hali". Ogromnie cieszę się z każdego zbliżenia się członków naszej „Rodzinki", toteż nawiązanie przez Ciebie osobistego kontaktu z „Maleńka Hali" sprawiło mi wielką radość. Serdeczna, szczera przyjaźń jest cennym nabytkiem, którego nic zastąpić nie może.

Istotnie, człowiek uczy się przez całe życie, wyciąga pouczające wnioski z każdej sytuacji i rozmowy, szereg tych wniosków tworzy z czasem nasze doświadczenie życiowe. Kończę nie chcąc Cię zanudzać, gdy woła Cię rozsłoneczniony świat.

Komunikaty:

„Łobuz w spódnicy". Haneczko, gratuluję z okazji odkrytego talentu Kazika. Cieszysz się, prawda? Życzę dużo przyjemności na wakacjach.

„Izyda". Dziękuję za pamięć w komunikatach dla Tereni z Leszna. Pamięta ona zawsze Poniec i każe Cię serdecznie ucałować.

„Maleńka Hali". Czy pamiętasz, jeszcze Halu boisko „Sokoła" w Poznaniu? Jak żeśmy się serdecznie śmiały pisząc pocztówkę? Pozdrawiam.

Również przesyłam serdeczne pozdrowienia dla „Samotnego Roma", „Zefiru Zachodu", „Wesołego Broneczka", „Myśliwego", „Puera", „Zawiedzionego". Liściki od wyżej wymienionych byłyby mile widziane.

„DULCE ET DECORUM EST PRO PATRIA MORI..."

„Dyktator". Nie mogę nic dodać ponad to, co napisałam „Czarnej Marynie" w nr. 22. Przyznam się, że nie przypuszczałam, aby drugi z naszej kochanej gromady zdobył się na tą najwyższą ofiarę. Przytaczam własne Twoje słowa, które najlepiej wyjaśnią pobudki, jakimi kierowałeś się w swej szlachetnej decyzji.

„Jaśniejszą stroną mego życia to jest sprawa, która interesuje wszystkich: los naszej Ojczyzny. Aby nie być pasożytem i choć odrobinkę Jej się przysłużyć, zgłosiłem się na żywą torpedę. Ale tak dużo zgłosiło się, że w razie potrzeby pewna tylko ilość będzie zużyta. Ja proszę Boga, abym znalazł się w gronie tych szczęśliwców".

A więc już fakt dokonany. Jesteśmy całą duszą z Tobą i Tobie podobnymi, żywiąc najwyższą cześć dla przeogromnej ofiary.

W takiej chwili nie mogę pogniewać się ani troszeczkę na Ciebie za pierwszą część listu. Czy takim językiem może przemawiać „Dyktator", który prawdziwie po dyktatorsku zadysponował swym życiem?

Z dumą ściskam Twą dłoń, nie mogąc stłumić mimo wszystko iskierki nadziei w głębi serca, że Bóg zachowa wasze młode istnienia i pozwoli doczekać wspólnie wielkich, wspaniałych przeobrażeń naszej Ojczyzny.

Komunikaty:

„Czarna Maryna". Brawo, Dziewczynko! Odwaga Twoja imponuje mi, podajmy sobie ręce, ja zrobiłem to samo. Nie masz śmierci nad śmierć za Ojczyznę, nieprawdaż? Przyjm mocny uścisk dłoni.

„Biała Uajali". Co za napaść?... „zimny drań"... adres żniniaka... Jakiego żniniaka?.., odwet... honor... zagrożona dyktatura... Naprawdę nic, a nic nie rozumiem. Chciej mi to wytłumaczyć — w przeciwnym razie przyślę ekspedycję karną.

„Wędrowna Chmurka". Trasa prowadzi przez Żnin. Proszę skorzystać. Mam nadzieję, że wkrótce będziesz.

KOMUNIKATY „BLONDASKA"

„Chochlik". — Czy można do Pani skrobnąć. Bardzo lubię wesołe panienki.

„Marzenka w Ameryce". — Marzenko mamy jednakowe imię. Bardzo bym chciała z Panią korespondować. Może Pani skrobnie do mnie kilka słów. List proszę kierować do p. Zosi. Odpowiem na pewno.

„Madziarka" — czy Pani pochodzi z Węgier? Ja również byłam tam przez pewien czas.

„Biały Wrzos" — Cudny jest Pani wierszyk pod tytułem: „Zakochany księżyc". — Pozdrawiam!

„Czekoladowa Księżniczka". — Czy Pani jest też „początkującą" „Krainianką". Bardzo mi się podoba Pani pseudonim. Czy można do Pani napisać?

„Mary z Gdyni". — Ja również mieszkałam w Gdyni. Może Pani napisze do mnie bardzo bym chciała wiedzieć, co tam słychać

„Młody Orle" — pasjami lubię lotników. Proszę o „kilometrowy" liścik.

„Wesoły dowcipniś w mundurze". Może Pan się ze mną podzieli swoim humorem i sypnie parę dowcipów. Odpowiem na pewno. Jestem również „Krainianką" od niedawna.

„Czarnulko" — czy wiesz, że zostałaś przyjęta do „Krainy"? Iruś napisz! Gdzie jesteś teraz. Za pocztówkę bardzo dziękuję. Trochę się gniewałam, że nie podałaś swego adresu. Oczekuję listu. Pozdrawiam Cię „Blondasek".

„Romeczko ze Lwowa" jesteś kochana. Tak trochę znam Lwów.

„Stary Wojak" — kiedy dostanę liścik? Zaraz odpiszę. Na razie — pa!

„Błędny Ognik". A może Pan napisze? Pozdrawiam!

„Przybłęda Leśny". Ogromnie kocham lasy i chętnie czytam ich opisy. Darz-Bór!

„Tyran". Zainteresował mnie Pan swoim pseudonimem. Mam nadzieję, że groźnym Pan nie jest. Pozdrawiam.

„Pell". — Lubi Pan wycieczki? Pozdrawiam.

Halo! „Krainiacy"! Listy dla „Czarnulki" i „Blondaska" proszę kierować do p. Zosi, a nie jak poprzednio było podane w „Krainie" — na poste-restante.

Serdecznie pozdrawiam p. Zosię i całą „Rodzinkę" i oczekuję dużo liścików.

DOSŁAŁAM

„Arianka". Listy dosłałam właściwym adresatom. Dlaczego takie lakoniczne zdania? Popraw się w przyszłości !

BARDZO MI MIŁO!

„Reniuta z Chrzanowa". Miło mi bardzo przekazać „Rodzince" Pani komunikaty, a jeszcze milej będzie mi otrzymywać od Niej regularną korespondencję.

Wiersze proszę przysłać, Wujek Janusz chętnie je oceni.

Łączę serdeczne pozdrowienia.

„Halo! Pozdrawiam wszystkie „Krainianki" z Bydgoszczy. I ja jestem bydgoszczanką, zamieszkałą obecnie w Chrzanowie.

Proszę o parę słów od p. „Uluty", „Małej Gwiazdeczki" i „Nell z Bydgoszczy". Jestem byłą uczennicą gimnazjum żeńskiego p. Wandy Rolbieskiej — na pewno mnie znacie; może panieńskie inicjały „R.M.": Wprawdzie będzie Wam trudno odgadnąć, ale może przecież zna mnie która z Pań.

Proszę też o list p. „Wielkie nic dobrego" — adres mój w redakcji.

DAJ APEL

„Smutna Maruta“. Naturalnie, że chciałabym zwiedzić Twoje miasto, ale niestety na razie jest to niemożliwe. Może w przyszłym roku!

W sprawie, o którą mnie pytasz najlepiej będzie, gdy dasz apel. Jestem pewna, że „Krainianki“ chętnie odpowiedzą.

Posyłam Ci jasny uśmiech i zapewnienie, że chętnie odbiorę Twój następny list.

Komunikaty:

„Maruta“. Pozdrawiam i całuję mocno.

„Maleńka Halszka“. Jesteś kochana! Zasyłam moc pozdrowień i uścisków.

„Bajka“. Pozdrowienia odwzajemniam. Pisz!

„Wit“. Proszę o skrobnięcie liścika, odpowiedź murowana!

„Stary Wojak“. A może Pan napisze? Czekam!

Wszystkim „Krainiankom“ i „Krainiakom“ zasyłam pozdrowienia!“

WRÓCISZ WYPOCZĘTY

„Przybłęda Leśny“. Owszem, ostatni list P. doczekał się już swojej kolejki, a nawet pocztówka z Zakopanego w tej chwili otrzymuje odpowiedź w „Krainie“.

Wierzę chętnie, że jest Pan zachwycony urokami Zakopanego i spodziewam się, że wróci Pan do pracy wypoczęty, zadowolony i opalony na „murzyna“.

Łączę pozdrowienia i przechodzę do komunikatów:

„Leśna Dziewczyno“! Za pozdrowienia dziękuję! I ja spędziłam urlop w Zakopanem. Czy jeszcze tu jesteś? Odezwij się. Ściskam rączkę! Napisz.

„Taka sobie Halina“! Wysłałem widokówkę z adresem (urlopu). Dlaczego milczysz? Za widokówkę z Cz. dziękuję. Ściskam łapki!“

ŻYCZĘ POMYŚLNOŚCI

„Armeńczyk“. Więc Pana warunki życiowe już się ustabilizowały — przyjemna to dla mnie wiadomość, szczerze to stwierdzam. Jak też nasz miły „Armeńczyk“ czuje się w Warszawie? Życzę wiele pomyślności na nowej placówce! Oby te wszystkie szerokie i piękne projekty zrealizowały się w szybkim czasie. Jest Pan młody, silny, zdolny, pełen energii i wiary w własne siły, proszę iść w życie śmiało, z mocnym i optymistycznym nastawieniem do tych dni powszednich, zwartych z sobą podobieństwem jak ogniwa łańcucha. Człowiek pogodny, o radosnym sercu, zdobywa więcej w życiu od nałogowego pesymisty. Chcę wierzyć, że działalność Pana będzie nie tylko pożyteczna, ale i piękna w formie.

Prośby Pana w sprawie podania adresów wymienionych osób spełnić nie mogę, z uwagi na dyskrecję, która obowiązuje redakcję. Myślę, że Pan to zrozumie i nie będzie miał do mnie żalu.

Sprawy administracyjne, poruszone w pierwszym liście poleciłam naszej administracji załatwić bezpośrednio po otrzymaniu listu. Podobnież drugi list został załatwiony.

Przypuszczam, że sprawi Pan ogromną radość tym „Krainiakom“, których wiersze podobały się Panu, tłumacząc je i wysyłając za granicę.

Brawo! I dla mnie jest to miła wiadomość.

Przechodzę teraz do Pana komunikatów:

„Samotna Idealistka“. — Dziękuję za pozdrowienia. Ktoś Ty?

„Farida“. — Gdzie mieszkasz?

„Niniusia z Brześcia“. — Może odwiedzę.

„Czarne Oczy“. — Pozdrawiam. Dajcie dowód znajomości ze mną. Jeżeli jesteście harcerkami — życzę przyjemności w obozach.

P. Eugeniuszowi Sew — uznanie za barwną nowelkę „Purpurowy bandetillo“.

„Reniuta z Chrzanowa“. — Kiedy będziesz w Warszawie?

„Meritta“. — Znaczkami mogę Cię obsypać.

„Aneczka“. — Zainteresowałaś mnie. Napiszę. Czekaj cierpliwie.

„Słodka Dary“. — Pozdrawiam. Czy jesteś naprawdę tak zuchwała jak to głosi obce słowo w Twoim pseudo?

„Biała Uajali“. — Pozdrawiam. Czy mieszkasz w okolicy Płońska?

Za serdeczności i pozdrowienia dziękuję i odwzajemniam. Do tej grupy należą: „Farida“, „Słodka Rene“, „Cudzoziemka“, „Renata znad Gopła“, „Wielbicielka Słońca“, „Kiki z W-wy“, „Indianka“, „Chochlik“, „Ariana“, „Arita“ „Armida“, „Rena z Kujaw“, „Ar“, „Li-Lea“ „Mimoza“, „Blanka“, „Milutka Poznanianka na Mazowszu“, „La Argentina“, „Gwiazdeczka“, „Milutka Bronia z P.“, „Jagienka spod Lublina“, „Dzikuska“, „Łobuz znad Wisły“ oraz z Poznania“, „Szatynka“, „Rowerzystka“, „Lena“, „Helutka W. i Irka K.“

Uścisk dłoni dla „Yoshimury“ i „Taddy“.

Listy wyślę: Halszka II, Żymełka, Księżniczka Henrietta, Litwinka, Mary, Zaira, Mała Wróżka, Kochane Dziewczątko, Dziunia i Marida-Tczew, Diana, Szukające Dziewczątko, Helusienka, Aneczka, Hiszpanka i Szatynka z Podlasia — i proszę o cierpliwość.

Halo! Brześć n. Bugiem i Prużana! Kto mieszka w tych miastach lub okolicy, proszę niech do mnie natychmiast napisze.

Całej „Krainie“ dużo pozdrowień.

„Armeńczyk“.

LUBIĘ CIĘ...

„Młody Las“. Dzieciaku miły dziękuję Ci miłym uśmiechem za ten długi list o promiennym, wiosennym nastroju. Dobre masz serce, kiedy tyle jest w Tobie miłości dla przyrody i radosną duszę, że bierzesz życie z jego jasnej i dobrej strony. Najproduktywniejsza jest praca, wykonana przez człowieka o radosnym sercu — jak mówi Alcott w jednej ze swych książek. Powinnaś wiele w życiu dokonać, mając takie nastawienie. Nie zmieniasz się? Przytrzymaj przy sobie tę tryskającą zdrowiem radość życiową a będzie Ci ona napojem orzeźwiającym w trudnych wędrówkach w „góry“ życia.

Czy lubię letnie wakacje? Ogromnie! Poranki są wtedy jak uśmiech zapowiadający barwne wydarzenia, w południowej ciszy jest tyle spokojnej, pewnej równowagi, a wieczory niosą nerwom zmęczonym ukojenie, co spływa z sinej, lekkiej mgły nad łąkami, z zielonego listowia starych, mocarnych drzew, z powietrza nagrzanego słońcem i nadzieją. Lubię Cię bardzo „Młody Lesie“.

Całej „Zaczarowanej Kraince“ ślę w Twoim imieniu śliczne uśmiechy.

ZGADZAM SIĘ NA WYMIANĘ MYŚLI

„Aviata“. Wybaczam wspaniałomyślnie P. milczenie, tym więcej, że w pełni uzasadnione. Zastępstwo nieobecnego kolegi — to nieraz urwanie głowy, obawa o potknięcia się itp. nieprzyjemne konsekwencje. Dobrze, że już minęło, prawda?

Ależ jak najchętniej zgadzam się na wymianę myśli na tematy tak życiowe i niepowszednie — mimo, że właśnie spotykamy się z nimi w życiu codziennie. W omawianiu zagadnień tego rodzaju wydobycie prawdy „na wierzch“ może przynieść dużo korzyści dyskutującym. A może i „Krainka“ otrzyma Pana uwagi w tej kwestii?

Szczęście jest względne — punkt widzenia każdej jednostki jest inny. Uwagi słuszne.

W ostatniej sprawie radzę zwrócić się do jednego z większych wydawnictw np. Księgarni św. Wojciecha — Poznań. Ze zrozumiałych względów nie chcę podawać tytułów i autorów na łamach pisma. Z propozycji „wspak“ nie skorzystam, co pomyśleliby „Krainiacy“? Przesyłam serdeczny uścisk dłoni i zamieszczam komunikaty:

„Marzące Oczy“. Korzystając z Pani apelu zapytuję się, czy można poprosić Panią o nawiązanie korespondencji, która ułatwi obustronne poznanie się? W lipcu lub sierpniu nabędę nowy motocykl (setkę), to ewentualnie komunikacja nie będzie trudna. Mieszkam od Poznania około 90 km. Czy Pani była z początkiem tego roku w Białośliwiu, bo fotos Pani mi kogoś przypomina.

„Aneri“. Przepraszam za długie milczenie. Co do proponowanej wycieczki na Wołyń — to będzie gorzej niż myślałem. W sierpniu będę w Warszawie to może i wpadnę na Wołyń, mam tam krewnych pp. Redów z okolic Równego. Być może, że będę na Podkarpaciu na kursie, to mogę skorzystać z okazji. Żegnam i czekam na adres przyobiecany (mój u P. Zosieńki).

„Geniu Kul. z Gr.“ Dlaczego nie odważyłaś się na wstąpienie do „Krainki“? Czekam!

OWSZEM!

„Rabuś“. Owszem, godzę się na Twą prośbę, zresztą miałaś już okazję to stwierdzić. Życzę Ci miłych wycieczek poza mury Bydgoszczy i pozdrawiam serdecznie.

PAMIĘTAJMY O ŚLĄSKU

„Serce Śląskie“. Dzielny, kochany Chłopcze, list Twój ucieszył mnie niezmiernie, lecz niezamieścić komunikaty jak najprędzej. Grożbv stety nie mogłam spełnić Twojej prośby, aby nie zlękłam się. Dobrze spisujecie się na Śląsku — jak widzę. Niech i „Krainiacy“ sami zobaczą:

„Teraz kiedy żyjemy w epoce tarć chamstwa do obrony świętych praw, to i my Ślązacy pokażemy światu i „hakenkrojcom“, co znaczy z uczciwością, to proszę pamiętać — gdy Ojczyzna, ta Droga Nasza Matuchna, powoła nas pięść Polaka. Znają oni dobrze z powstań śląskich Ślązaków i na pewno pamiętają taniec, jaki urządzili im nasi Hanyskowie. Obecnie toczymy bój na śmierć i życie wśród ludu śląskiego... niektórych uczymy powoli chodzić i rozumować po naszemu“. Dużo, jak najwięcej takich Hanysów nam potrzeba.

Dostajesz wiele listów, adresowanych po raz pierwszy bezpośrednio na Twój adres. To zupełnie naturalne. „Krainiacy“ przysyłają nie zaadresowane listy do redakcji, a tu zaopatrza się je w adres. Nikt adresu nie zdradza. Wyjaśnienie dostateczne?

Przy okazji skorzystam z uprzejmości Twojej, by na własne oczy zobaczyć tę kochaną śląską ziemię, a choć zapewniasz mnie, że Hanyse to „pioruny“, na pewno nie ucieknę na księżyc. A teraz oddaję Cię „Krainie“.

Halo — Mili „Krainiacy“! Na zapytania Wasze, co robię, czy żyję, jak wyglądam — odpowiadam wszystkim razem i każdemu z osobna: Melduję posłusznie, że się urodziłem, a więc żyję, lecz to co się stało, już się nie powtórzy. Wygląd — hm, ładny — cacany! — troszkę oczy zezowate, coś za mało ząbków, na jedną nogę utyka, troszkę garbaty, — ot, i cały podobny do swego taty. Więc szkoda czasu na korespondencję — prawda? Dodaję jeszcze, że jeżeli mię coś nie zje, to muszę żyć — i to wszystko — co będzie dalej?

Wszystkich serdecznie pozdrawiam, a jeżeli ktoś chory, to „pierońsko“. Specjalnie pozdrawiam U. S. z W. A więc „Czołem!“

PRZESYŁAM POZDROWIENIA

„Czarnobrewa“. Miło było mi czytać, że „Krainka“ daje Ci dużo radości i zadowolenia. Jak najchętniej przedrukowuję komunikaty, a Tobie przesyłam pozdrowienia.

„Samotna Idealistko“. Przepraszam, że nie odpisałam, ale list Twój nie zastał mnie w domu, gdyż miałam tygodniowy urlop. Napisz, czy nie zmieniłaś adresu. Serdecznie pozdrawiam i czekam na liścik.

„Zo - mulatka“. Kto jesteś? a może mnie znasz? Napisz — chętnie odpowiem. Przesyłam mocny uścisk dłoni.

„Szukające Dziewczątko“. Czy nie zechciałaby Pani skrobnąć do mnie? Bardzo będę wdzięczna.

„Yoshimuro“. Pozdrawiamy Cię wszyscy, a ja najserdeczniej. Jak będziesz miał chęć, to napisz.

„Biała Uajali“, „Blanko“, „Uśmiechu Szatana“, „Smutnooki Jasiu“. Chciałabym Was poznać, ale nie mam odwagi napisać pierwsza.

„Krainiacy“! Może kto z Was napisze do mnie. „Krainianki“ już piszą, więc teraz kolej na Was.

Całej „Krainie“ ślę pozdrowienia.

Może ktoś z woj. lubelskiego należy do „Krainy“ — proszę niech napisze do mnie, może poznamy się osobiście.

SPRAWY ADMINISTRACYJNE ZAŁATWIONE

„Maleńka Hali“. Wszystkie sprawy administracyjne zostały załatwione. Sądzę, że numery będą przychodziły teraz regularnie.

Pocztówkę, o której wspominasz otrzymałam i dziękuję za nią.

Obawy Twoje są zupełnie bezpodstawne, Droga Moja! Nigdy nie miałam przykrości z Twego powodu i jestem przekonana, że nadal będziemy żyły w zgodzie, prawda?

A teraz Twoje komunikaty:

„Ninko“! Nie prędko będę w Warszawie, ale przyjm chociaż zdala serdeczne pozdrowienia i moc uścisków takich kochanych, jak kiedyś dawno temu — pamiętasz — od Twej Hali, która mocno całuje Twą smutną buźkę. Pa!

„Królowo Gizello“ nie bądź filozofką i przyjm serdeczności, bo lubię Cię tak samo mocno, jak przed tym. Pisz!

„Puello". Co słychać maleńka moja, bo u mnie nic nowego. Myślę, że napiszesz i to niedługo, a na razie przyjm uściski i milutkie pozdrowienia.

Ktoś, kto mnie, serdecznie pozdrawiał nie dawno, niech przyjmie miłe i serdeczne pozdrowienia. Czy to była może „Biała Brzóska"? Jeśli tak, to odezwij się proszę.

„Doniu". Jeśli masz ochotę to napisz, przesyłam Ci wiele serdecznych uśmiechów.

„Wesoła Marietta". Za pozdrowienia serdeczne dzięki, odwzajemniam je w pełni i ciekawam ktoś Ty? Czy dąsz maleńki znak?

Wszystkich piszących w „Krainie" miłe pozdrawiam i dziękuję za ładne wierszyki, zwłaszcza p. Baranowski, Kaz. Junoszyc, M. Grzegorski, „Zaira", „Wierzba na pustkowiu" i inni niech przyjmią me szczere uznanie!

Mile pozdrawiam „Ariankę", „Alohę", „Łobuza w spódnicy", „Młody Las", „Przeklętą Iwę", „Bajkę", „Blady Kwiat", „Frasquitę" a dla całej „Krainki" uśmiechy.

„Dziewczę z puszczy".

OŁÓWKIEM NA KOPERCIE

„Młody". Czy już znalazłeś kogoś, kto okazał Ci szczególniejszą sympatię w naszej „Rodzince"? Adresu „Krainiaków" znać nie potrzebujesz, wystarczy, że nadeślesz do redakcji list ze znaczkiem pocztowym, z wypisanym (zwykłym ołówkiem) na kopercie pseudonimem — reszta będzie załatwiona przeze mnie.

Łączę miły uśmiech i przedrukowuję Twoje komunikaty:

„Zwracam się zwłaszcza do tych, którzy pochodzą z Kresów półn.-wsch. (ziemia nowogrodzka, wileńska, podlaska, poleska itd.) o pamięć.

„Wilnianka". Pozwoli mi Pani nawiązać ze sobą bliższą korespondencję?

„Izyda". Chciałbym wiedzieć Twój adres.

„Lucyna". Służę Pani. Racz przyjąć moją przyjaźń. Kiedy już będę miał adres, napiszę do Pani.

„Ka-er". Wiersz „Recepta na wzajemności" bardzo mi się spodobał. Chciałbym nawiązać z sobą bliższą korespondencję?

Wszystkim „Krainiankom" i „Krainiakom" zasyłam moc serdecznych pozdrowień i proszę o pamięć. Piszcie!

PRZYJMUJĘ DO KRAINY...

„Wesoła sztubaczka" wkracza uroczyście do „Krainy". Chcecie wiedzieć jak wygląda? Nie zdradzę... Powie o tym zdjęcie „Wesołej Sztubaczki", jakie — zgodnie z daną mi obietnicą — nadeśle nasza nowa krainianka w dniach najbliższych, a które ukaże się na łamach naszego tygodnika. Bardzoście ciekawi? Bo ja ogromnie...

Przyszłym sympatykom naszej „Wesołej Sztubaczki" powiem tylko, że jest to dziewczątko miłe, uwielbiające muzykę i taniec.

Przejdę teraz do komunikatów „Wesołej Sztubaczki":

„Halo! „Długas". Zaimponowałeś mi swoim pseudonimem. Istotnie jesteś wysoki? Jeżeli tak — to będę Twoją wielbicielką, bo szalenie lubię wysokich chłopców (zwłaszcza sztubaków). Morowe jest życie sztubaków — podzielasz moje zdanie? Przesyłam serdeczny uścisk i miłe pa! Napiszesz do mnie?

„Belfrze" — czy Twój pseudonim jest zgodny z rzeczywistością? Jeżeli tak, to chętnie nawiążę z Tobą korespondencję.

„Smutny Sztubaku", „Wesoła Sztubaczka" pragnie wrócić Ci zgubioną radość i podać bratnią dłoń.

HALO! KRAINIANKI!

„Obserwatorowi". Chętnie spełniam prośbę, przedrukowując poniżej komunikaty, na których Mu tak zależy.

„Czarne oczy" i „Szalona Cela". Nie pisałem, bo zapewne były już Panie w Gdyni. A jeżeli Panie jeszcze tam się znajdują, to proszę napisać na adres: Falkowski Franciszek, Gdynia, Starowiejska 45 m. 3.

„Czarny Hajduczek"! Pozdrawiam i proszę o adres.

„Złoty Dzwoneczek" i „Bogda". — Czy można napisać?

„Królowa Gizella". Nie mam Pani adresu.

„Szatynka z Gdańska". Czy adres na posterestante aktualny? Proszę chociaż by pocztówką podać mi adres właściwy.

Załączam pozdrowienia dla „Ninette", „Luteńki", „Marteczki", „Nell z Bydgoszczy", „Milutkiej Leny", „Serca", „Młodego Jasia", oraz proszę „Krainianki" będące w tym roku nad morzem o wiadomość. Odczuwam brak towarzystwa, szczególnie na plaży.

HALO! TU „LUCYNA"

„Lucyna". Dziękuję za pozdrowienia i odwzajemniam się nimi.

„Cygan Nieznany". Odpowiedź wysłałam 11. 7. 1938 i do tego czasu nie mam żadnej wiadomości. Napisz. Pa! Pa!

Proszę o list od „Ariona", „Rozmarzonego Błękitu", „Młodego", ponieważ nie mam odwagi pisać pierwsza. Odezwiecie się?

„Słowianin". Chciałabym z Panem korespondować. Proszę napisać, dobrze?

„Pell". Ma Pan motor, może Pan przyjedzie do Lwowa? Ja również jeżdżę.

Całusy dla całej „Krainki".

CHĘTNIE ZADOŚĆ UCZYNIĘ

„Śniadula". Prośbie Twojej, Dziewczynko, chętnie uczynię zadość, podaj mi tylko bliższe dane oraz pseudonim Twojej koleżanki. Tak ogólnie ujęłaś tę sprawę, że nie mogłam się zorientować o kogo chodzi.

Apele Twoje podaję poniżej:

„Przesyłam pozdrowienia dla „Małej Mysi", „Romeczki ze Lwowa", „Patá", „Te-Ema", dużo serdeczności dla „Pella", „Promyka" i „Błędnego Ognika".

Wszystkich „Krainiaków" pozdrawiam. Moje uznanie dla tych, którzy piszą wiersze.

TECZKA wuja Janusza

HEJ „KRAINO"

Wsadziłem raz nos w „Krainę",
no i włos mi się zjeżył!
„Mała Hali" sroży minę,
„Wiedźma z debry" zęby szczerzy!...
O co poszło — ten się dowie,
kto czyta „Krainę",
słowo w słowo, a po słowie —
o „Wujka" łysinę!...
„Hali" gniewem zagroziła —
ej, stracę sympatię!...
Głowa w smutku się zwiesiła,
popadłem w apatię!
Lecz mnie szybko poderwało
innych gróźb podłoże,
„Wiedźmie" — kłócić się zachciało
i to ze mną — Boże!
Stój że „Wiedźmo" i ty „Hali" —
„Zadzior" kontra — powie,
ci co „Wujka" zapoznali —
ma włosy na głowie?
Albo zróbmy głosowanie:
każdy sąd wypowie,
czy łysina jest, jak bania,
czy włosy na głowie...
Urna mieści się w „Krainie",
„Ciocia" liczy głosy —
Ej że „Wujciu", w samym Żninie
ważą się Twe losy!...

„Zadzior".

IDĘ DO CIEBIE

Ojczyzno moja. Czy to Ty mię wołasz,
Czyś to Ty w potrzebie?
Jeżeli tak, to idę do Ciebie!
Idę do Ciebie z uśmiechem na twarzy,
A serce moje o zwycięstwie marzy!
A serce moje o potędze śni,
Bo życie moje, Ojczyzno, toś Ty!
Życie, ma chata i moje mienie,
Bo Ciebie o Polsko ponad wszystko cenię!
Idę do Ciebie, by siłą zgnieść wroga,
Boś Ty mi, ziemio, ponad wszystko droga!
A, gdy mi przyjdzie zadrzeć śmierci męką,
To ją powitam na ustach z piosenką!
Z piosenką, która w świecie zasłynęła
Że „póki my żyjemy, Polska nie zginęła"!!!

Helena Justyńska.

TRZEBA WIERZYĆ!

„Dziewczynka z zaklętego młyna". Obydwa wierszyki zostaną wydrukowane i to mi daje nadzieję, że posunęła się Pani daleko naprzód. Co jest nie tylko miłe i przyjemne, ale naprawdę wzruszające, to dzielny duch Pani i to patriotyczne nastawienie do obecnej sprawy polskiej. Da Bóg, wszystko będzie dobrze! Pól naszych nie stratuje wróg, nie zniszczy bogatych miast i nie naruszy spokoju i ciszy naszych wsi! Trzeba w to wierzyć, trzeba ufać, że „wojna nerwów" minie i znów nastanie pokój.

Pozdrawiam Panią serdecznie, Droga „Dziewczynko", o gorącym, czystym serduszku prawdziwej i dobrej Polki!

Na zakończenie, komunikat Pani: „Dyktatorze"! O ile chcesz się dowiedzieć czegoś więcej o mnie — napisz!

WIERSZE CORAZ PIĘKNIEJSZE

„Uran". „Nadużyciem mojej uprzejmości"? — nie, ale może być nadużyciem sił Pana, Drogi „Uranie". Nawet najbogatszy umysł może się wyczerpać, gdy pracuje za wiele, dlatego zalecam Panu oszczędzać się.

Wiersze coraz piękniejsze. Do druku wybrałem: „Rozum człowieka", „O, lato!...", „Na cóż nam krzyki?...", „W blaskach księżyca", „Chciałbym być ptakiem...", „Witam...", „Deszcz", „Polscy żołnierze", „Staw", „Głos duszy", „Rosa", „Senne widziadła", „Twoje oczy" i „Jestem, jak pisklę"...

WITAM!...

P. Apolinaremu Żurawskiemu — poświęcam.

Witam was wonne lilie i róże!
Takieście żywe, piękne i duże,
Że aż z radości serce mi drży
I brylantowe wyciska łzy.

Tęskniłem do was mocno i srodze
A teraz witam w własnym ogrodzie! —
Och, rozwijajcie się pięknie mi,
Póki trwa wiosna i słonko lśni.

Nie zaznam troski, nie zaznam smutku,
Póki będziecie kwitnąć w ogródku.
Najmniejszy z gronka waszego kwiat
Rozjaśni w oczach mi cały świat.

Jesteście dla mnie niebem zachwytu
I niby błogą ciszą błękitu;
Nic tak nie pragnę, jak tu wśród was,
Spędzić rozkosznie, ten piękny czas.

Eugeniusz Halman.

GDY CIEBIE NIE MA...

Gdy ciebie nie ma — smutno serce
I w duszy jakiś lęk się rodzi,
Gdy jestem smutna, trwam w rozterce,
Boję się czegoś, gdy odchodzisz.

Gdy ciebie nie ma — pustka wokół
I świat wydaje się tak szarym!
Gdy już nie słyszę twoich kroków —
Zaczynam tracić w szczęście wiarę.

Gdy ciebie nie ma, łzy mam w oczach,
Bo nie wiem, czy cię znów zobaczę,
Twych źrenic dwa przeźrocza...
Gdym sama — z bólu serce płacze.

Gdy ciebie brak — lęk się zakrada,
Że los rozdzielił nasze drogi
I zanim wrócisz w strony moje —
Już nowe będą kwitnąć głogi.

„Blanka".

WIERSZ DLA CIEBIE...

Chcesz — bym ci napisała wiersz?
Na jakiż temat pisać mam?
O tym, że pada dzisiaj deszcz,
(tak samo pada tu i tam)
...że już w ogródku przekwitł bez,
z jaśminów opadł kwiatów śnieg?
(Tęsknota kąsa, niby pies,
co się z żałości wielkiej wściekł.)

Dni mają dziwny, cierpki smak,
jak niedojrzały polny głóg...
— Mówiłeś mi: „najlepiej tak"...
tam — na rozstaju naszych dróg.
Odszedłeś. Tak! Już minął rok...
Rozpacz! Po nocach tyle łez!
Stop! Ty nie lubisz smutnych strof —
więc może taki temat chcesz:

...że lato, zieleń, zapach z łąk —
w szczęściu zatonął cały dom?...
Wciąż dźwięczy śmiechu srebrny gong,
że inna miłość, inny „On"?...
A może lepiej pisać tak:
(byś jeden wieczór wspomnieć chciał)
Wiesz, tam na klombie zakwitł mak —
czerwony, jak miłość, jak szał...
— — — — — — —
Chcesz — bym ci napisała wiersz?
Na jakiż temat pisać mam?
Przecież o wszystkim dobrze wiesz —
że jestem sama i tyś sam!...

„Jadwiga Limba".

brzymi, przejrzysty szal. Miałam oczekiwać na odwiedziny „pana doktora", moje towarzyszki przeszły do drugiego pokoju...

Gdy nadszedł ten ohydny starzec i zbliżył się do mnie, obrzydliwie uśmiechnięty, zdjął mnie taki wstręt, że całą mocą odepchnęłam go od siebie. Wpadł do basenu, ja zaś uciekłam. To właśnie było powodem sceny, widzianej przez pana...

Spojrzenie ,jakim obdarzyła inspektora, pełne było wdzięczności. Uśmiechnął się do niej i pragnąc oszczędzić jej zakłopotania, poprosił mr. Stovee'a, aby on z kolei opowiedział swoje przygody w willi.

— Kiedy usłyszeliśmy wasz strzał — ochoczo zabrał głos podinspektor — otoczyliśmy willę jeszcze ciaśniejszym pierścieniem, poczem wraz z kilkoma ludźmi zapukałem do drzwi wejściowych. Dzwonek, jak mi się zdawało, nie działał. Ponieważ nikt nie otwierał, wysadziliśmy drzwi. Przyszło nam to bez trudu, były bowiem zupełnie spróchniałe. Na parterze nie znaleźliśmy nikogo, pięć mieszczących się tam pokoi nie posiadało żadnego umeblowania. Na zgniłej podłodze leżała wszędzie gruba warstwa kurzu, a ściany pokryte były grzybami, pleśnią i pajęczyną.

Wbiegliśmy na piętro ,ale i tu dwa pokoje niemal nie różniły się od parterowych. Dopiero trzy dalsze posiadały jakie takie urządzenie, — bo nie można nazwać umeblowaniem żelaznego łóżka, spróchniałej szafy, kulawego stołu z nieheblowanych desek i prymitywnej ławy. Każdy z tych trzech pokojów posiadał owe cztery sprzęty — i nic więcej. Na jednym z łóżek leżał dr. Semmler, nie okazując na pozór najmniejszego zdziwienia na nasz widok. Obrzucił nas obojętnym spojrzeniem i nie odezwał się ani słowem, czekając widocznie, aż wyłuszczymy powód naszego przybycia.

Nie kwapiłem się z tym bynajmniej. Zostawiłem przy nim dwóch konstabli, z resztą ludzi udałem się na strych. Lecz i tam było zupełnie pusto...

— Gdzież, u diabła, może być mr. Thompson? — pomyślałem zaniepokojony. — Widziałem, jak wchodził do wnętrza domu przez otwór w dachu, później zaś wszyscy słyszeliśmy umówiony strzał...

Nie miałem jednakże czasu na długie namysły. Trzeba było spiesznie działać, bo któż mógł dać gwarancję, czy mr. Thompson'owi nie przytrafiło się coś złego? Zszedłem na dół i miałem już wziąć dr. Semmler'a na spytki, gdy jeden z detektywów wskazał mi dwa zagłębienia w podłodze, obok szafy, wyglądające jak ślady kół na mokrej ziemi. Pochyliłem się nad owymi zagłębieniami i stwierdziłem, że szafa posiada kółka. Wydało mi się to podejrzane, toteż zamierzałem przesunąć sprzęt na inne miejsce, gdy wtem dr. Semmler zeskoczył z łóżka i rzucił się na mnie jak tygrys, chcąc ugodzić złotą szpilką, która, jak sądzę, była zatruta...

Konstable odciągnęli go jednak na środek pokoju i wtedy odsunąłem szafę. Gdy ujrzałem pod nią czworokątną klapę w podłodze — nie byłem zbytnio zdziwiony.

Z ciemnej czeluści buchnął oszałamiający zapach perfum. Wystarczyło mi to, aby domyśleć się prawdy.

Podszedłem do dra Semmler,a, który trząsł się jak w febrze i ledwie stał na nogach o własnych siłach.

— Złaś pan na dół — rzekłem — ale uprzedzam na wypadek, jeżeli knuje pan jakieś łajdactwo, że w razie najmniejszego niebezpieczeństwa, jakie nam groziłoby — strzelam w łeb.

Popchnął go do otworu, trzymając w jednej ręce rewolwer, a w drugiej latarkę elektryczną. Nie opierał się zupełnie.

Otwór wiódł na kręcone schody, które dr. Semmler oświetlił teraz elektrycznością. Zszedłszy po kilkunastu stopniach, znaleźliśmy się przed żelaznymi drzwiami nie zamkniętymi na klucz. Za nimi ciągnął się wąski korytarzyk, posiadający dwoje drzwi, z których jedne prowadziły do salki, gdzie znaleźliśmy mr. Thompson'a i dwóch wspólników dra Semmler'a, drugie zaś do obszernej i wytwornie urządzonej sypialni, gdzie sypiały porwane dziewczęta. Oto wszystko.

— Obie te ukryte ubikacje mieściły się zatem na parterze? — zagadnął nadeszły w międzyczasie komisarz Knollow.

— I tak, i ine, gdyż sklepienie ich, jak się zdaje, znajdowało się nieco wyżej od sklepienia parteru.

— Cóż tedy było ponad nimi?

— Dwie niskie izby, w których przechowywano pieniądze, perfumy, wiktuały, szaty niewieście itd. Prowadziło do nich wejście z kręconych schodów, po żelaznej drabinie. Wszystkie te ubikacje można było



Suknia z materiału, na którym wydrukowano reklamy wszelkich gatunków papierosów. Komu to się podoba?

łatwo wykryć, zmierzywszy szerokość willi i szerokość pokojów, dostępnych dla wszystkich. Nikt na to nie wpadł, nie było bowiem żadnych poszlak, które uprawniały by do przeprowadzenia szczegółowego badania willi.

— Dobrze, a teraz, kim są aresztowani i skąd pochodzą ich ofiary?

— Jak wykazało przesłuchanie, — odparł mr. Stovee — dr. filozofii Semmler jest obłąkanym erotomanem, zbiegłym przed jedenastu laty z zakładu dla umysłowo chorych w Hanwell .Jeden z jego wspólników był kiedyś słynnym atletą, aż wreszcie musiał wycofać się z ringu, zdystansowany przez młodsze siły, drugi wspólnik był przed wojną światową funkcjonariuszem policji. Jest to nałogowy alkoholik, cierpiący na delirium tremens. Zetknęli się przed dziesięciu laty i przystali do siebie. Za pieniądze, posiadane przez atletę i byłego policjanta, za bezcen kupili na licytacji willę. Była ona własnością jakiegoś kupca, który zbiegł, popełniwszy olbrzymie oszustwo i pozostawiając masę długów. Za długi te zlicytowano później willę. Władze nie odkryły oczywiście jej tajemnicy, uczynili to dopiero nowonabywcy. Dlaczego ci dwaj, były policjant i były atleta, tak ślepo służyli dr. Semmler'owi — trudno odgadnąć. Prawdopodobnie miał ich w rękach, wiedząc o jakichś nieczystych sprawkach, których się dopuścili...

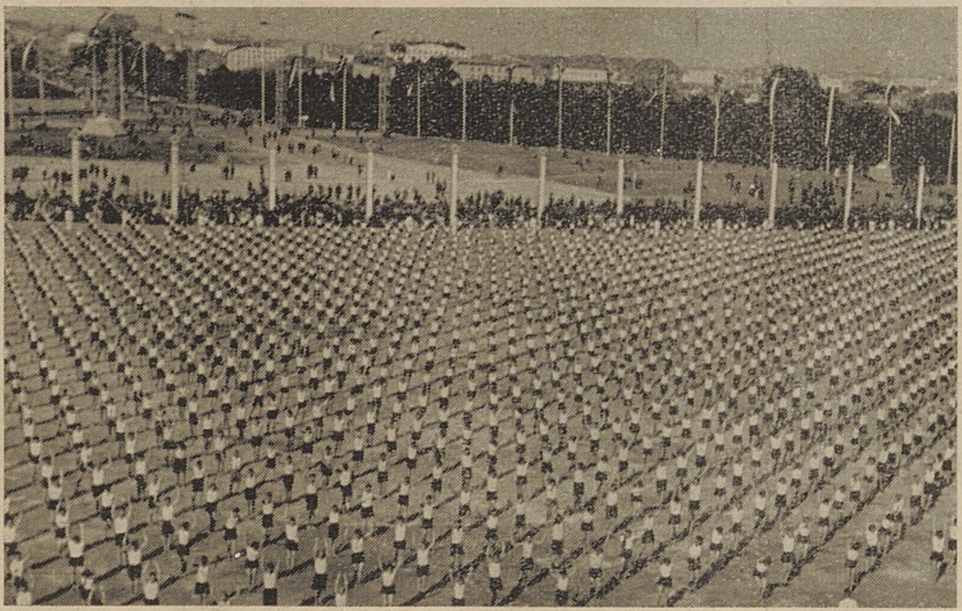
— A dziewczęta, mr. Stovee?

— Wiadomo już, że dr. Semmler komunikował się z nieistniejącą obecnie szajką „Red-boys", która dostarczyła mu kilka dziewcząt. Niedobitki tej bandy znajdując się często w krytycznym położeniu materialnym, porywały dziewczęta i sprzedawały je dr. Semmler'owi. Jedna z owych dziewcząt, oswobodzona teraz, pochodzi z Edynburga, trzy z Londynu, dwie z Dublina, jedna z Belfastu, cztery z Birmingham, jedna z Liverpoolu i jedna z Aberden. Dwie z nich już dziewięć lat były uwięzione!

— A miss Annaberie de Monte-Villi? — zagadnął nagle mr. Thompson.

— Kto, kto, co wy mówicie...?

(Ciąg dalszy w nast. numerze)



Olbrzymi pokaz gimnastyki odbył się ostatnio w Rydze

15)

Wariatka

Szereg smutnych refleksji nad życiem ludzkim przeszło tutaj przez jej myśl. Z poczuciem prawdziwej tęsknoty wspominała świetlaną postać księdza Jaczewskiego, a jego parafia wydawała się czymś nieprawdopodobnym w zestawieniu ze światem zamkniętym w murach Św. Krzyża.

Była już oddalona od tego miejsca o jakie pół godziny drogi, gdy raptem usłyszała trzask łamanych gałęzi i czyjeś ciężkie kroki. Zanim zdążyła się rozejrzeć, zupełnie niespodziewanie zjawiła się przed nią postać człowieka o przestraszonych oczach, z wyrazem na twarzy lęku tropionego zwierza.

Iga w jednej chwili poznała z ubioru że ma przed sobą zbiega z więzienia.

Chwilę mierzyli się wzrokiem. W oczach więźnia błysnęła nienawiść. Nienawiść do każdego wolnego człowieka, nienawiść, która wzrastała w nim pewno przez długie lata ciężkiej, okrutnej kary za jakąś zbrodnię. Iga w tej chwili była dlań uosobieniem całego społeczeństwa, które stwarzało prawo, kary i miało siłę. Teraz, w tym lesie, może komuś powiedzieć, że go widziała, dać wskazówki, gdzie go szukać! A więc zgładzić ze swej drogi tę przeszkodę...

Iga czytała dokładnie w oczach więźnia wrogą dla siebie nienawiść i okrucieństwo. Serce jej ścisnęło się lękiem, dech zamarł w piersiach. Ale pomimo tego lęku uczuła wielką litość i żal nad tym nieszczęśliwym.

Sama nie wiedziała, jakim sposobem się to stało; czy był to odruch serca, czy instynkt samozachowawczy — ale uśmiechnęła się do niego.

Więzień stał bez ruchu i patrzał wciąż na nią. Teraz z oczu jego wyjrzało bezmierne zdumienie.

Pewno zapomniał jak wygląda uśmiech... Może mu on przypomniał dzieciństwo i matkę?

Iga w jednej chwili zdała sobie sprawę, że zwyciężyła. Lęk odbiegł z jej serca. Odezwała się:

— Nie bójcie się mnie. Nikomu nie powiem, że was widziałam. Idźcie swoją drogą. Pamiętajcie, że jest Chrystus. A jeśli się wam uda ujść pościgu, idźcie do wsi Stare Kąty koło Suchedniowa, do księdza Jaczewskiego. On wam powie, jak żyć dalej, on wam pomoże, to święty człowiek. Pamiętajcie: proboszcz w Starych Kątach. Niech was Bóg prowadzi.

Sięgnęła do kieszeni, dała mu pięć złotych i mijając go, poszła swoją drogą.

Po chwili obejrzała się: stał wciąż na tym samym miejscu i patrzał za nią. Machnęła mu życzliwie ręką. Gdy obejrzała się znowu — nikogo nie było już na ścieżce.

Iga szła teraz szybko, prawie biegła. Nie tylko więzień chciał uniknąć pościgu ona także. Nie lubiła kłamać, nie chciała więc być pytana. A pytana nie byłaby dała prawdziwej odpowiedzi. W głębi duszy wierzyła, że tego nieszczęśliwego człowieka zbawić może tylko ksiądz Jaczewski — nie więzienie! Nawet jeśli popełnił jakąś straszną zbrodnię — było w nim coś dobrego, skoro jej zachowanie się wobec niego złagodziło wyraz jego oczu.

Pot spływał jej z czoła, zaczęła odczuwać ciężar plecaka, nogi mdlały zjej, gdy wspinała się pod górę. Ale nie ustawała w pospiesznym marszu. Musiała się jednak wreszcie zatrzymać, aby zorientować się czy dobrze idzie. siadła ciężko na pieńku, zrzuciła na chwilę plecak, zaczęła studiować mapę. Szła dobrze. Całe szczęście.

Pięć minut odpoczynku i ruszyła dalej.

Aż do samej św. Katarzyny nie spotkała żywej duszy.

Odetchnęła z ulgą stając pod wrotami klasztoru.

Tutaj spędziła pozostałe dwa tygodnie urlopu. Mieszkała w maleńkiej celce, jadała proste potrawy w dużym chłodnym refektarzu. Całe dnie spędzała włócząc się po górach, leżąc godzinami na trawie twarzą do nieba.

Był to cudowny odpoczynek dla ciała, nerwów i mózgu.

Stąd wysłała tylko dwa listy długie, obszerne, pisane pod gołem niebem: do księdza Jaczewskiego, któremu opowiedziała o więźniu, i do Romana.

Do Romana tęskniła bardzo. Tu wśród ciszy starych jodłowych drzew, w ich poszumie, zapatrzona w błękit nieba i w najidealniej pomyślanej samotności — silniej i wyraźniej niż kiedykolwiek rozumiała jak bardzo tego człowieka kocha — wbrew wszystkiemu. Wbrew wszystkiemu — bo przecie zdawała sobie sprawę, że nie jest on takim, jakimby go mieć pragnęła.

Nieraz leżąc na trawie z podłożonymi pod głowę rękami, marzyła, że jest tu przy niej. Tu właśnie wśród ptaków, pod tym szerokim niebem. Nie chciała myśleć o nim w ramach swoich czterech ścian w Warszawie. Jakże tam ciasno i duszno.

Gdyby był tu... tu właśnie!

I w takiej chwili kiedyś, przypomniał się jej ranek spędzony ze Stefanem po ślubie, w Wilanowie, nad Wisłą.

Ból, dawno uciszony i zagojony, targnął raptem jej sercem tak boleśnie, że wybuchnęła płaczem.

— O Stef, dlaczego, dlaczego musiałeś zginąć...

Płakała długo.

A gdy potem, uspokoiwszy się wracała do klasztoru, zdumiona zadawała sama sobie pytanie: co to właściwie było i dlaczego... Jakże skomplikowaną istotą jest człowiek.

Kocha Romana, tęskni za nim — i jednocześnie, raptem, dawna fala niemal rozpaczy uderzyła w jej serce: — Stefan.

A może płakała za tym, co było w Stefanie, a czego brak u Romana tak boleśnie nieraz odczuwała!?



Obrazek z czasów naszych prababek — poczta konna

ROZDZIAŁ XVI.

W Warszawie (ciężko było do niej wracać!) Iga zastała list od księdza Jaczewskiego. Pisał jej, że więzień, którego do niego posłała, zgłosił się rzeczywiście. „Obawiam się — brzmiały słowa listu — że mogą być jakieś kłopoty i trudności w związku z jego pobytem u mnie. Ale nie mogłem inaczej postąpić, niż postąpiłem. Nieszczęśliwiec spowiadał się u mnie sercem naprawdę skruszonym, błagał mię, abym go nie gubił, abym mu dał możność uczciwego życia. Skazany był na dożywotnie więzienie! Ten człowiek już jest moralnie uratowany. Nie mogę gubić go. Jest teraz u mnie na miejscu starego Marcina, mego stróża i furmana zarazem, którego — niestety — pochowałem. Jest wierny, pracowity i patrzy na mnie oczami bezpańskiego psa, którego pogłaskano i nakarmiono".

Iga była szczęśliwa, że jakiś dobry duch natchnął ją wtedy w górach, by wskazała tę właśnie drogę zbiegłemu więźniowi. Droga ta okazała się najwłaściwszą.



Nieliczne już istniejące żaglowce podtrzymują urok romantyki morza

Wkrótce po powrocie Igi do Warszawy, wrócił także Roman.

Zaraz następnego dnia był u niej. Przyszedł wieczorem. Iga cieszyła się z tego bardzo: w dzień czas jego wyliczony był zawsze na kwadranse i minuty nawet; wieczór był długi, już bez żadnych spraw, czekających na załatwienie. A tyle tematu było do gawędy!

Opowiadali więc sobie wszystkie wrażenia ze swoich urlopów, zaspokolili tęsknotę pocałunków i pieszczoty.

Nigdy może tak całkowicie, tak niepodzielnie nie byli oddani wyłącznie sobie — jak tego właśnie wieczora.

Iga była bardzo szczęśliwa. Żadna, najmniejsza nuta dysharmonii nie zamąciła jej szczęścia. Przeszło jej nawet przez myśl: „Czyż to możliwe, że on mnie nie kocha?... czyż mógłby być takim jak dziś, gdyby mnie nie kochał?..."

Było już późno, gdy Roman, przytulając Igę do siebie, powiedział, w pewnej chwili trochę nie swoim głosem:

— Malutka moja... Jest mi bardzo ciężko, ale muszę ci coś powiedzieć, co zrobi ci wielką przykrość... Ale powiedzieć muszę.

Iga przestała oddychać. Nie czuła bicia serca. Nie odpowiedziała nic. Nie zapytała. Wiedziała o co chodzi.

Roman po chwili zaczął znowu:

— Za miesiąc jest mój ślub... Rozumiesz, że stosunki nasze muszą ulec zmianie. Będziesz dla mnie zawsze najmilszą i najbliższą istotą, zawdzięczam ci przecie tyle dobrych chwil... Będziemy się widywać, bo jesteśmy zbyt mocno związani, aby mógł być zerwany między nami kontakt.. Zresztą ja tego nie chcę. Ale musimy pozostać tylko przyjaciółmi. Widzisz, kochanie, co innego było dotychczas. Wiem, że nie byłem w porządku ze swoim sumieniem, ale godziłem się na kompromis, bo jednak sytuacja była inna... niż ta, która będzie. Poczuwałem się do obowiązku zawarcia mego małżeństwa, ale jednak nie składałem żadnej przysięgi wierności... Teraz ją złożę. Będę więc związany, nie będę wolny i nie chcę łamać tej przysięgi. Będziemy więc przyjaciółmi, od czasu do czasu cię odwiedzę, często telefonicznie pogawędzimy, ale te najmilsze nasze chwile nie mogą — niestety — trwać. Wiem, że cię boli serduszko — niepotrzebnie mnie pokochałaś, zawsze mówiłem, że niefortunnie wybrałaś objekt... Ale ty masz tyle hartu...

Iga przez cały czas tych słów, wolno i z trudem wypowiadanych, miała wrażenie, że Roman kraje na kawałki jej serce. Fizycznie czuła ból w piersiach. Ostry, głęboki, krwawiący. W chwili kiedy niemal zachłysnęła się swoim szczęściem, widzierano je brutalnie, tak bardzo boleśnie.

Nadludzkim wysiłkiem woli pozornie się opanowała i po długim milczeniu odpowiedziała obcym sobie głosem:

— Tak... hartu mam dosyć... na twoje potrzeby wystarczy zawsze... A teraz już idź, idź od razu.

Wstał prędko. Ona także. Chwycił ją w objęcia, przycisnął usta do jej ust. Nie oddała mu pocałunku. Miała bólem ściśnięte zęby.

— Dziękuję ci najmilsza za wszystko... O nikim tak dobrze i tak serdecznie nie będę myślał, jak o tobie... Wiem, że cierpisz przeze mnie i to jest dla mnie okropnym wyrzutem sumienia. Czy na prawdę będziesz mogła mieć dla mnie przyjaźń?...

— Zawsze, kochany... Idź już. Na prawdę szczerze ci życzę, aby ci było dobrze.

Wyszedł.

Iga upadła na fotel. Wtuliła się weń. Oczy miała suche. Niewypłakane łzy, jak ciężki głaz leżały na sercu.

Skończona książka. Zamknięta.



Pani Marszałkowa Piłsudska (pierwsza od lewej) wzięła udział w walnym zebraniu Komitetu Opieki „Osiedle", którego troską jest polepszenie bytu najbiedniejszych mieszkańców Warszawy

Na drugi dzień, pomimo, że przez całą noc nie zmrużyła oka, poszła do banku zrównoważona i tak zewnętrznie pogodna, że nikt nie zauważył żadnej zmiany w jej usposobieniu. Zwrócono tylko uwagę na jej mizerny wygląd, ale to łatwo usprawiedliwiła minionym silnym bólem głowy.

Wrzesień był piękny, pełen złota, czerwieni i słońca.

Iga na całe popołudnie uciekała z Warszawy tam wszędzie, gdzie mogła uciec od ludzi, widzieć trochę drzew, pola i szeroki horyzont. Przetrawiała swój ból, tłumiła tęsknotę, szukała w samej sobie mocnego gruntu, na którym mogłaby stanąć. Wiedziała, że nie może się załamać; byłoby to powiększeniem wyrzutów sumienia Romana, kochała go, nie chciała zaciążyć mu nawet na jego własnym sumieniu. Nie mogła się załamać, bo była potrzebna ludziom. Nie tym „bliskim i znajomym", ale tym przygodnym, których spostrzega tylko ten, kto ma oczy w sercu. Tym ludziom jest potrzebna. „A zresztą — myślała — czyż można wiedzieć jak się ułoży życie Romana... Może i jemu będę jeszcze kiedyś potrzebna. Dla jego spokoju muszę się opanować, muszę nie dać się złamać; ma dobre, uczciwe serce, byłoby mu przykro, Przeze mnie nie może mieć żadnej przykrości..."

Ludzi, „którym była potrzebna" spotykała teraz dziwnie dużo na drodze swego życia. Pochłaniali jej wiele myśli i wiele czasu.

Pisała dwa czy trzy razy do księdza Jaczewskiego. Dziwiła się, że nie otrzymuje odwowiedzi. Przykro jej było. Jego mądre, głębokie słowa były jej teraz bardzo potrzebne.

Aż, oto jednego dnia otrzymała wreszcie tak bardzo oczekiwany list. Otworzyła go z radością, ale w miarę jak czytała, twarz jej nabierała wyrazu smutku.

„Nie odzywałem się tak długo do Pani — pisał ksiądz Jaczewski — bo przyszedł na mnie cios, z którym musiałem się najpierw sam uporać, zanim mógłbym o nim mówić. Teraz piszę już spokojnie, bo wiem dlaczego musiało się wszystko tak stać, jak się stało. Otóż przed miesiącem otrzymałem pismo od mojej władzy duchownej, z którego dowiedziałem się, że jestem przeniesiony do innej parafii, ponieważ, jak doniesiono, zachowywałem się niewłaściwie ,chodząc z chłopami do karczmy i na wesela. Jestem czysty w sumieniu swoim. Bóg jest świadkiem moich czynów. Rozstawać się z moją parafią było dla mnie bardzo bolesne. Bo cóż, każdy człowiek jest gdzieś w głębi serca egoistą: kochałem tych moich parafian, zwyczajnie przywiązałem się do nich, więc i żal było od nich odjeżdżać. Ale już teraz wiem, dlaczego. Bóg tak zrządził, nie o mnie przecie chodzi, ale o tych, którym jestem potrzebny. Moja nowa parafia jest bardzo zaniedbana. Tak samo jak dawniej Stary Kąty. Tu jestem potrzebny — więc tu mnie Bóg posłał. Muszę zacząć całą pracę od nowa, dla innych. Bieda tu wielka i mało ludzie wiedzą o Chrystusie. Zaczynam więc od początku i wierzę, że Bóg pobłogosławi mojej pracy, tak jak w Starych Kątach pobłogosławił.

Pani protegowany z gór Świętokrzyskich jest tu ze mną, musiałem go zabrać ze sobą, nie mogłem go samego zostawić".

List ten wzburzył Igę do głębi.

Jakże wielka, jak niezasłużona krzywda spotkała tego człowieka.

Chodził do karczmy...

Więc karna parafia.

Znowu jakieś dziwne nieporozumienie.

Z drugiej strony imponowała jej wielkość duszy i serca tego prawdziwego pasterza:

...„Nie o mnie przecie chodzi, ale o tych, którym jestem potrzebny..."

Raptem zadźwięczał dzwonek w przedpokoju. W pierwszej chwili Iga pomyślała „nie otworzę... nie ma mnie w domu". Ale potem przyszła refleksja — może pod wpływem listu księdza Jaczewskiego — i „a jeśli to ktoś, kto mnie potrzebuje?..."

Otworzyła.

Obłocki.

Po kilku latach niebytności w kraju, zjawił się oto znowu i od razu pomyślał o zobaczeniu się z Igą.

Niewiele się już zmienił przez ten czas. Tylko trochę więcej posiwiał.

Zwykłe pytania: — co słychać, jakie zmiany?

— Czy pani chorowała? — zapytał raptem, bacznie przyglądając się Idze.
— Nie. Dlaczego pan o to pyta?
— Bo bardzo źle pani wygląda... Taką nigdy pani nie widziałem. Tak wyglądają ludzie tylko po ciężkiej chorobie.
— Ach, może to tylko chwilowe zmęczenie. W ogóle czuję się znakomicie. Cóż pan zamierza robić? Czy zostanie pan w kraju?
— Jak pan widzi, nie zostałem księdzem, ale jestem świeckim zakonnikiem, a celem mego życia jest apostolstwo.
Iga pomyślała chwilę. A potym.
— Czy pan mnie zawsze tak samo lubi, jak mnie pan lubił? — uśmiechnęła się miło.
Obłocki stropił się nieco i natychmiast palce powędrowały do szczoteczki wąsów.
— Naturalnie... Ani trochę mniej. Dlaczego pani o to pyta?
— Bo mam do pana prośbę i chciałabym, aby pan spełnił ją w imię sympatii dla mnie.
— Słucham panią.
— Wszystko panu jedno, gdzie pan będzie prowadził swoje apostolstwo — prawda? Niech więc pan pojedzie do mego serdecznego przyjaciela, księdza Jaczewskiego i niech pan tam pozostanie przez trzy miesiące.
— Dobrze, dla pani gotów jestem to uczynić. Ale jakże tak jechać do kogoś obcego, w dodatku na tak długo... Pani ma zawsze jakieś fantastyczne pomysły... — roześmiał się nerwowo.
— Może pan jechać na moją odpowiedzialność. Zresztą napiszę tam list.
— Ale dlaczego pani na tym zależy?
— Bo chcę, aby pana sympatia dla mnie przyniosła panu coś dobrego w życiu...
— Dla pani zawsze wszystko zrobię... zawsze wszystko byłbym zrobił. Załatwię swoje sprawy i za tydzień mogę tam jechać.
— Czy wyegzekwował pan wszystkie należności od swoich lokatorów?
— O tak, co do grosza.
— W takim razie tym bardziej niech pan tam jedzie. Za tydzień — tak? Słowo?
— Słowo. Mają rację ci, którzy twierdzą, że tylko kobiety potrafią mieć najbardziej... fantastyczne żądania — zwłaszcza w stosunku do tych, którzy je kochają... — rzekł smutno.
— Zaciął się pan przy słowie „fantastyczne", chciał pan pewno powiedzieć: „histeryczne". Niech się pan przyzna? — — zapytała ze śmiechem.
— Jeśli mam być szczery, to tak, rzeczywiście.
— No więc doskonale. Niech będzie histeryczne żądanie! Grunt aby je pan spełnił.
Mówili jeszcze o wielu rzeczach i Iga utrwaliła się w przekonaniu, że dobrze zrobiła, stawiając swoje „histeryczne żądanie". Trzeba ludzi bronić od fałszywego apostolstwa!
Po wyjściu Obłockiego napisała list do księdza Jaczewskiego.
Po tygodniu Obłocki pożegnał się z nią i wyjechał, gdzie mu kazano.
Minął jeszcze tydzień. Pewnego dnia Iga siedziała w domu, zatopiona w literaturze, poleconej przez ks. Jaczewskiego, gdy odezwał się telefon.
— Halo.
— Dobry wieczór, malutka.
Idze mocno uderzyło serce. Znowu słyszy jego głos. Krótka chwila — zanim powiedziała swobodnie.
— Dobry wieczór, Romiś. To bardzo milutko, że dzwonisz do mnie. Co słychać u ciebie? Jak się czujesz?
— Ach, jak zwykle mam mnóstwo roboty. Zresztą czytasz gazety: Europa jest napompowana, więc musisz sobie zdawać



Port w Bilbao

sprawę jak jestem zgorączkowany.
— Tak, wiem. Nieraz czytając pisma myślałam o tym, jaki musisz być zaaferowany. Wyobraź sobie przed tygodniem był u mnie Obłocki. Pamiętasz? Ten katolik bez odrobiny chrystianizmu. Jestem bardzo zadowolona, bo wysłałam go na „przeszkolenie" na trzy miesiące do księdza Jaczewskiego. Jeżeli on z niego nie zrobi człowieka, to znaczy, że na prawdę ten biedak jest stracony.
— Zawsze myślisz o innych...
— Uważam, że to daje najwięcej zadowolenia. Widzisz: jestem egoistą! Powiedz mi teraz: jest ci dobrze?
— Noo, tak... Nie dzwoniłem do ciebie wcale, bo zdawało mi się, że tak będzie lepiej i dla ciebie i dla mnie. Bardzo często o tobie myślę...
— Wiem o tym.
— Chciałem ci powiedzieć, bo nie lubisz dowiadywać się od osób postronnych o tym co się tyczy mego życia...
— Chcesz mi powiedzieć o ślubie — przerwała mu.
— Tak. Właśnie. Będzie...
— Nie mów mi — przerwała znowu. — Nie chcę wiedzieć dnia. Zresztą to już jest tylko szczegół, który w niczym nie zmienia istoty rzeczy. Ale dziękuję ci, że zadzwoniłeś w tym celu. To było po przyjacielsku...
Chwila milczenia.
— Malutka... — zaczął znowu Roman.
— Co, kochanie? — powiedziała spokojnie, tak jak zawsze dawniej.
— Malutka... czy nie masz do mnie żalu?
— Ani trochę. Będę miała wtedy, jeżeli będzie ci źle z powodu twego małżeństwa. Wtedy będę miała żal o to, że nie umiałeś się zorientować w sobie samym i zepsułeś własne życie.
— Czy myślisz, że to co mówisz uspokoi moje sumienie? Przeciwnie.
— Pamiętaj o tym, że dałeś mi bardzo dużo dobrych chwil. Jestem ci przecie za to wdzięczna.
— Ty mnie wdzięczna!!! Więcej miałaś smutku niż radości z mego powodu. To brzmi jak paradoks, ta wdzięczność dla mnie!
— Ale zostajemy przyjaciółmi i to jest najważniejsze. Było by bardzo smutno, gdybyśmy się rozstali z żalem, gniewem i urazą. Wszystko jest w porządku, kochany. Życzę ci więc szczęścia i serdecznie o tobie myślę.

— W twoich ustach życzenia nie są frazesem. Dziękuję ci. Zrób mi kiedy przyjemność i zadzwoń do mnie.
— Dobrze... może kiedy zadzwonię.
— Do widzenia, najmilsza. Bardzo mocno całuję twoje rączki.
— Do widzenia Romiś.
W trzy dni potem Iga pisała list do swej przyjaciółki:

30 września 193...

Iruś droga —

Więc w tych dniach Roman się żeni. Zresztą może już jest po ślubie. Dzwonił, by mi powiedzieć dokładnie kiedy to będzie. Nie chciałam wiedzieć i nie wiem. Może już jest po ślubie, a może dziś właśnie ceremonia ta się odbywa; może dopiero będzie jutro. Jak się czuję — możesz sobie wyobrazić. Myśl o tym nie przestaje mnie dręczyć ani chwilę. Zdaje mi się, że mi położono jakiś ciężki, olbrzymi kamień na sercu. Czasami bić przestaje, tak boli. Nieraz myślałam o tym, że taka chwila, jak dzisiaj, przyjdzie. Myślałam o niej z lękiem, ale nie zdawałam sobie sprawy z tego, że to będzie aż tak ciężkie, aż tak bolesne. Nie umiem myśleć kategoriami tych ludzi. Więc nie mogę ich zrozumieć. On dopełnia „obowiązku" w stosunku do niej. Bardzo pięknie. Ona wprawdzie wolałaby sytuację poprzednią, która dawała jej wolność — ale na dopełnienie jego „obowiązku" godzi się. De facto robią to nie dla siebie, ale dla tak zwanej opinii. Opinię stwarzają ludzie. A więc dla ludzi, zawiązują sobie życie. Co za absurd! Uczucie między nimi wygasło. Nie ma teraz najistotniejszego elementu tego związku. Przecie to wszystko jest jakąś okropną tragi-komedią! Znowu toaleta. Toaleta! Dobry ton. Tradycja. Opinia. Dla tych powodów przystępuje się do Sakramentu, składa się przysięgę na to, czego się nie dotrzyma... „A iż cię nie opuszczę aż do śmierci..." — a opuścili się już oddawna. Roman, który twierdzi, że nawet gdy kocha, nie umie być wiernym, teraz — po minionym uczuciu — będzie ślubował wierność! Czyż na prawdę nie zdaje sobie sprawy z tego co robi...

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

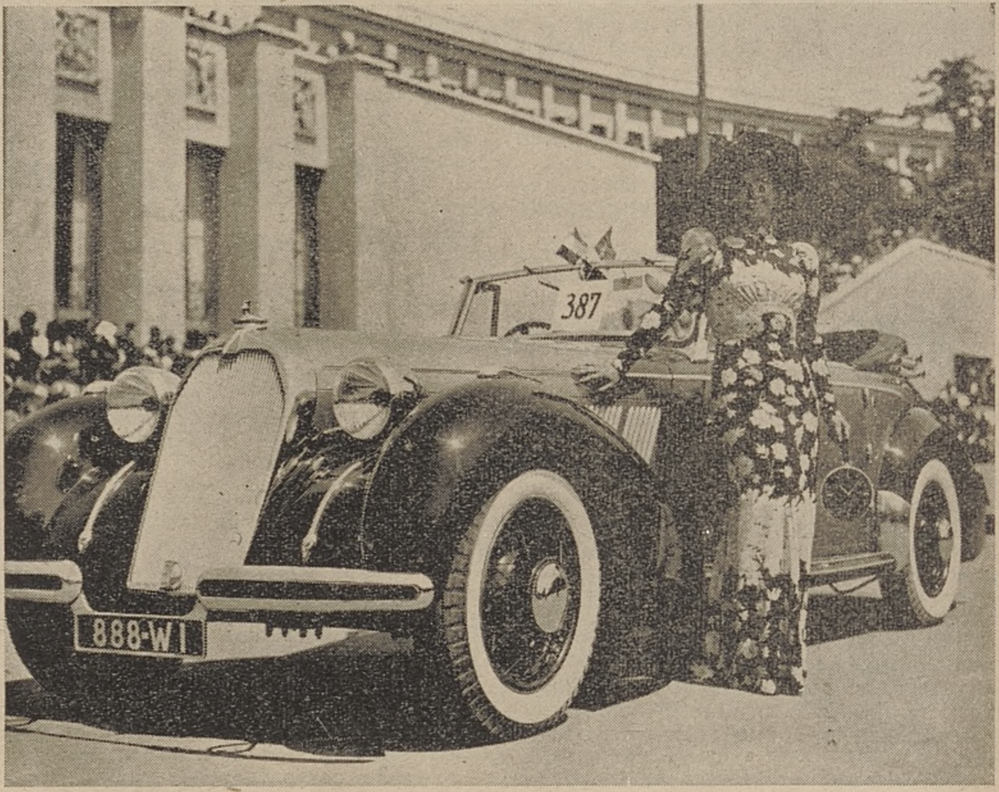
RAJ KOBIET

Ciekawostki obyczajowe

Trudno było by przenieść się człowiekowi cywilizowanemu w owe sielankowe czasy, kiedy to listek figowy czy opaska stanowiły jedyne okrycie, albo też naśladować mieszkańców Nowej Gwinei czy innych Buszmenów, u których po dziś dzień zachowały się nadal jedynie te prymitywne akcesoria toaletowe.

Za utrzymaniem odzieży w naszym europejskim sensie przemawiają zresztą obok klimatycznych względów — racje gospodarcze, a nawet wyższej natury. Nieomal cały przemysł i rzemiosło ległoby pokotem za jednym zamachem, gdyby zechciało się nam nagle zrekonstruować stosunki, panujące w raju, a nawet jedno z najstarszych i najwznioślejszych uczuć, jakim jest miłość, skazana zostałaby na porażkę czy zanik (przynajmniej w większości wypadków), gdyby nagle wszyscy mieszkańcy globu ziemskiego zapragnęli przeobrazić się w nudystów. Na szczęście mają te kluby nudystów nieliczną garstkę wyznawców i to przeważnie zbyt młodych, aby się obawiali zaryzykować odsłonięcia swych powabów lub zbyt leciwych, ażeby mieli cokolwiek do stracenia. Tak zwani „mężczyźni w sile wieku" lub panie w wieku nieco „poza-balzakowskim" nie zasilają zbytnio kadr tego adamowo - ewowskiego ruchu. Wychodzą one bowiem całkiem słusznie z założenia, że aczkolwiek pewna liczba ludzi traci przez okrywanie harmonijnej symfonii kształtów pod nędznym i niegustownym ubiorem — to znacznie większa zyskuje, kryjąc niejeden defekt macoszej natury pod arcydziełami krawieckiego kunsztu.

Nic dziwnego zatem, że od wieków każda poszczególna część ciała ludzkiego ma swoje specjalne okrycie. Zdarzały się coprawda pewne odchylenia, szczególnie w świecie kobiecym, ale zazwyczaj przemijające, jakoże okazywały się zgubne dla zdrowia. I tak moda wielkich dekoltów w czasach Dyrektoriatu potęgowała wielce choroby płucne i gruźlicze, moda odsłaniania łydek zasilała podobno wydatnie liczbę zachorzeń na stawy, wreszcie i moda balowa wentylacji pleców ma wprawdzie z jednej strony to bene, że pozwala przekonać sceptyków o istnieniu jeszcze wielu czarujących pleców kobiecych poza niedoścignioną dotychczas pod tym względem artystką filmową Marią Kordą, z drugiej atoli strony ma rzekomo stworzyć podatne podłoże pod chorobę kręgosłupa. Kto tam wie i ktoby się w tych wszystkich chorobach wyznawał! Zawsze jednak pewniej osłaniać, niż odkrywać. Aczkolwiek znowu niektórzy znawcy psyche kobiecej i tajników sztuki garderobianej twierdzą, że właśnie kobieta nieraz najbardziej zasłaniając, najwięcej wystawia.



Jeden z nagrodzonych wozów na konkursie elegancji samochodu w Paryżu

A jednak jest jedna część naszego ciała i to najważniejsza, którą stale wystawiamy na pokaz. Mowa tu o twarzy, obliczu. Oczywiście i tu są wyjątki, jak kobiety Wschodu, które zakrywając swoje twarze, pozostawiają jedynie nieosłonięte „źwierciadła duszy", przepastne głębie czarnych diamentów. Skoro jednak rewolucyjne reformy Kemala Paszy przyjmą się za przykładem Turcji i w innych szeherezadowych krainach - kwef należeć będzie do wspomnień i złoży się go czasem między bajki, razem z oną, autentyczną rzekomo anegdotą o owej kobiecie, która podczas pożaru wybiegła nocą z płonącego domu na dach, wołając o pomoc, a gdy się spostrzegła, że ma niezasłonięte oblicze, czym prędzej przerzuciła koszulę na twarz, by żaden mężczyzna nie widział jej nagiej twarzy. Niedarmo powiada Wells, że wstydliwość jest rzeczą względną.

Jakutki (mieszkanki Syberii) cechuje np. chorobliwa wstydliwość co do obnażania... stóp. Jakutka, która bez cienia wstydu obnaży się przy wszystkich do pasa, spłonie ze wzruszenia, gdy ją zaskoczy mężczyzna idącą boso. Natychmiast wtedy przysiądzie i nakryje gołe stopy koszulą, (notabene, o ile ją posiada), koszula stanowiła u tego ludu do niedawna przedmiot luksusu, dostępnego tylko dla zamożniejszych — i to też kolorowa, a nie biała — której się tam nie pierze, lecz wietrzy przez noc na mrozie. Ponieważ na nodze, a raczej stopie koncentruje się estetyczne zainteresowanie Jakutki — nic dziwnego, że staranne zawiązanie rzemieniem obuwia „sor" służy za miarę smaku i zręczności, a rozwiązanie obuwia podczas zabawy i pracy psuje reputację.

Powracając jednak do twarzy — stwierdzić musimy, że były wszakże w historii ludzkości okresy, kiedy i twarz była zakrywana maską i to przy najważniejszych czynnościach. Zakładali ją w starożytności kapłani i czarownicy niektórych ludów przy spełnianiu kultów religijnych i obrzędów czarodziejskich, osłaniali twarz kapturem uczestnicy sądów kapturowych, kryli za przyłbicą swe twarze średniowieczni rycerze, a w ataku na nieprzyjaciela nie tylko dawni barbarzyńcy, ale i dzisiejsze cywilizowane narody przywdziewają maski ochronne. W maskach odbywały się przedstawienia i tańce u niektórych ludów (jak np. w Japonii).



Jedno z ostatnich zdjęć księstwa Windsoru

Słowem nic wielkiego w najważniejszych dziedzinach życia nie odbywało się bez maski.

Toteż głośny pisarz włoski Papini w swej bardzo ciekawej książeczce „Gog" poświęca jeden rozdział „maskom" i zapytuje, dlaczego ludzie nowocześni używają maski tylko w celach maskaradowo - zabawowych lub bandyckich, a nie w życiu codziennym. Czemu twarz, stanowiącą często upokorzenie dla swego właściciela, a kamień obrazy dla bliźniego, obnosimy tak wszem i wobec bez żadnej osłonki?

Obok kapeluszy i rękawiczek powinni ludzie posiadać kilka masek na różne okoliczności jak n. p. smutną na wizyty kondolencyjne, pogrzeby — patetyczną i miłosną na flirt — uśmiechniętą na wizyty, kolacyjki, przedstawienia komedii itd.

Zdaniem sarkastycznego projektodawcy wyniknęłyby z tej inowacji różnorakie pożytki: higieniczny — ze względu na ochronę skóry twarzy.

Estetyczny — albowiem artysta tworząc dzieło sztuki — w tym wypadku maskę przewyższyć potrafi naturę.

Moralny — maska uwalniałaby człowieka w wielu wypadkach od hipokryzji, wreszcie pożytek:

wychowawczy — albowiem osoba, nosząca przez pewien czas daną maskę, nabrałaby z czasem cech na masce uzewnętrznionych.

Tak n. p. człowiek noszący maskę Rafaela, a obracający się przez 10 lat wśród arcydzieł sztuki w Rzymie — zdołałby się w końcu sam przedzierżgnąć się w rzeczywistego sobowtóra wielkiego mistrza Odrodzenia.

Idąc dalej po linii rozważań Papiniego — możnaby jeszcze na własną rękę snuć dalszą nić refleksyj na temat reinkarnacji, nie uciekając się koniecznie do przeszłości. Czyż wieki nasze mało mają chodzących sław i bohaterów?

Kobiety przywdziewałyby zapewne najchętniej maski, wyobrażające władczynie ekranu. I tak, przywdziewając maskę Grety Garbo, niejednej kobiecie wydawało by się, że jest przynajmniej królową Krystyną — zwolenniczkom mody Poli Negri wyśniłoby się wreszcie małżeństwo z księciem Mdiwani czy innym Mc-Cormickiem.

Tak to niewielkim kosztem byłoby życie urozmaicone, a po ziemskim padole przechadzałyby się same wielkości i sławy.

Felicja Stendigowa.

RZECZY CIEKAWE Z ŻYCIA KOBIET

Bułgarka pisze książkę o kobiecie polskiej

Przez trzy miesiące bawiła w Polsce młoda literatka bułgarska, p. Vesselina Genowska - Gerczewa, poznając nasz kraj i zbierając materiały i reportaże do pracy, jaką zamierza napisać o kobiecie polskiej.

Córka negusa pielęgniarką

W szpitalu dziecięcym w Londynie pracuje od pewnego czasu „siostra Tsahaj", która nie jest nikim innym, jak córką negusa Abisynii, Haile Selassie. Młoda księżniczka, która towarzyszyła przed trzema laty ojcu na wygnaniu, pełniła przy nim początkowo funkcje sekretarki, następnie jednak postanowiła obrać sobie jakiś praktyczny zawód i wstąpiła na kurs pielęgniarski. Po przejściu 3-letniego wyszkolenia, pra-prawnuczka legendarnej królowej Saby uzyskała zajęcie w szpitalu i podporządkowawszy się panującemu w szpitalu rygorowi, spełnia swe obowiązki ku całkowitemu zadowoleniu swych przełożonych.

Kobiety zawsze te same

W Peru znalazła jedna z ekspedycyj archeologicznych mumię młodej dziewczyny, która zmarła przed 3.000 lat. Mumia była doskonale zachowana. Ciało zmarłej było owinięte w drogocenne koronki koloru niebieskiego, brunatnego oraz z kości słoniowej. Znaleziono też przeszło 30 m. koronek w bardzo dobrym stanie. Znaleziono również torebkę ręcznej roboty, złożoną ze zmarłą do grobu. Zawartość torebki niewiele się różni od zawartości torebek, noszonych przez współczesne panie. Znaleziono tam karminowaną pastę do ust w małym pudełeczku, mały wyżłobiony klejnot, jako schowek na puder, białe i złote piórko. Dalej małe ręczne lusterko ze szlifowanego markarytu z drogocennie i artystycznie wyrobioną rączką. Wokoło szyi wysokiej wartości naszyjnik z pereł, dalej złote i srebrne pierścienie i niezwykle cenne bransolety. Paznokcie u rąk i nóg bardzo starannie pielęgnowane. W sarkofagu znaleziono też ramkę, na której naciągnięta była robótka ręczna. Odkrywcy tego grobu twierdzą, że tak koronki, jak i torebka widocznie były własnoręcznej roboty zmarłej.

Stąd wniosek, że kobiety zawsze miały, mają i mieć będą słabość do otaczania się pięknymi drobiazgami, biżuterią i zawsze z równą pasją uznawać będą moc kosmetyków upiększających. Na przestrzeni wieków, pod tym względem — kobiety zawsze te same.

HIGIENA i zdrowie

Trochę gimnastyki na plaży

Wciąż mówi się o gimnastyce i o dobrym wpływie, który ona wywiera na nasz organizm. Ale trudno traktować gimnastykę poważnie, gdy się ma robić ćwiczenia bez towarzyszek i kierownictwa. Najlepiej rozpocząć ćwiczenia gimnastyczne latem, podczas wakacyj, a gdy się już wejdzie w trans, wówczas łatwiej jest utrzymać te 10 minut ćwiczeń i podczas zajęć codziennych.

Poniżej podajemy kilka dobrych ćwiczeń:

1. Przede wszystkim trzeba wyrzucić z siebie ospałość. W tym celu wyciągamy się z całych sił, wciągając jednocześnie powietrze do płuc, a następnie wracamy do zwykłej pozycji, wydychając powietrze. Ćwiczenie to powtarzamy pięć razy.

2. Po tym, wedle wzoru tureckiego, klękamy i z wyciągniętymi rękoma pochylamy się do przodu tak, aby dłonie i przedramię jednocześnie dotknęły piasku. Z tej pozycji pochylamy się do tyłu, możliwie najdalej. Ćwiczenie to powtarzamy 10 razy.

3. Uderzamy dziesięć razy każdą nogą w niewidzialną piłkę, której nie możemy (a chcemy) dosięgnąć.

4. Pięciominutowe ćwiczenia rowerowe są też bardzo wskazane. W tym celu kładziemy się na plecach, wyciągamy nogi i uda w górę, podpieramy uda rękami, tak iż cały ciężar spoczywa na łokciach, zginamy kolana i robimy nogami ruchy, jak przy jeździe na rowerze.

Ruchy muszą być spokojne i rytmiczne; podczas ćwiczenia głęboko oddychać.

5. Na koniec mały bieg po plaży, składający się z długich skoków; ręce wyciągnięte, nogi niezgięte w kolanach, głowa uniesiona w górę.

Gdy się gimnastykujący troszkę zasapie, należy wypocząć, a po tym wejść do wody.

Lekarstwo przeciw zatruciu grzybami

We wrześniu i październiku wydarza się najwięcej wypadków zatrucia grzybami. Zatrucia te sa z reguły bardzo poważne i nie raz śmiertelne. Z reguły pomoc nie pomaga. Przeważnie ofiary albo chorują ciężko przez kilkanaście dni, albo umierają. Nikt bowiem nie wie, że istnieje niezawodne lekarstwo przeciw zatruciom i że lekarstwo to każdy może sobie przyrządzić, stosując je nawet bardzo późno i wtedy, gdy zdaje się, że otrucie jest beznadziejne. Znacznie pewniej działa lekarstwo to w pierwszym dniu pojawienia się objawów zatrucia, które występują bezpośrednio po spożyciu trujących grzybów w postaci wymiotów, biegunki, osłabienia serca itd.

Lekarstwo jest bardzo proste, składa się ono z drobnoposiekanych trzech surowych żołądków i 7 króliczych mózgów. 7 królików należy zabić i natychmiast z trzech zwierząt wyjąć żołądki, po czym rozciąwszy je (bez płukania w wodzie), usunąć z nich treść i drobno posiekać. Masę tę następnie należy przetrzeć przez czystą szmatkę i mieszać z drobno posiekanym mózgiem 7-miu królików. Mieszaninę tę należy podać zatrutemu do spożycia.

Odtrudka taka działa w sposób niezawodny, bowiem bezpośrednio po jej spożyciu następują wymioty i chory w ciągu paru godzin powraca do zdrowia. Tylko w wypadkach wyjątkowo ciężkiego zatrucia, dawkę tę należy powtórzyć, zazwyczaj jednak jednorazowe użycie tej odtrutki działa skutecznie. Odtrutki tej nie można przygotowywać na zapas. Musi ona być podana na świeżo.

Odtrutkę tę udało się odkryć prof. Limousin z Clermont Ferrand we Francji, który dzięki tej mieszaninie uratował życie dziesiątkom zatrutych.

Jak się pozbyć szczurów?

Można przez pewien czas wkładać do beczki żywność. Szczury w nocy włażą do beczki i zjedzą wszystko. Tak można uczynić kilka razy. Gdy szczury przyzwyczają się do tego, że w beczce znaleźć można jedzenie, wówczas trzeba beczkę nakryć a w środku wieka zostawić taki otwór, żeby szczur mógł wejść do beczki. Szczur do beczki wlezie, ale wydostać się nie może. Rano trzeba nałożyć na ręce rękawice, złapać szczura, przywiązać mu mały dzwonek do ogona i puścić go na wolność. Wszystkie szczury zaczną przed nim uciekać i w przeciągu trzech dni nie będzie w domu żadnego szczura i zniknie nawet ten szczur z dzwonkiem.

Zaczerwienienie oczu

Przyczynami przekrwienia oczu są: dym, upał, czytanie przy złym oświetleniu.

Przemywanie zaczerwienionych oczu naparem z rumianku szybko przynosi ulgę. Pamiętać jednak trzeba o tym, aby naczynie, w którym dokonywujemy tych kąpieli ocznych było idealnie czyste. Najlepiej przeznaczyć do tego celu jakiś jeden specjalny kieliszek czy spodeczek.

Nie wolno przemywać obu oczu w tej samej wodzie. Zmienianie wody po przepłukaniu jednego oka ustrzeże od przenoszenia bakteryj i zakażenia nimi drugiego oka.

Należy strzec oczy od nadmiernego światła, nosząc np. na plaży czy na śniegu w górach okulary ochronne.

Siostry

(NOWELA)

Hala zdjęła ostrożnie z parapetu doniczki z kaktusami, otworzyła szeroko okno i zabrała się do sprzątania. Z dokładnością wielkiej pedantki wytarła najpierw podłogę, później kurze z mebli i na koniec pozmieniała wodę w szklanych, wysmukłych flakonach, pełnych liliowych i żółtych irysów.

Nagle u drzwi wejściowych zajęczał dzwonek. Młoda panienka, jak wicher, pomknęła w tamtą stronę. W progu stał zgarbiony listonosz i sympatycznie się uśmiechał.

— Gazeta?! — rzuciła zadyszana.

— I gazeta i list! — uśmiechał się w dalszym ciągu staruszek i wolno podawał przesyłki.

Gorączkowo rozdarła błękitną kopertę i zaczęła pochłaniać treść małego bileciku.

— Lula! Lula przyjeżdża! — wykrzyknęła naraz radośnie, podskoczyła do przerwanej pracy i zaśpiewała silnym, srebrzystym głosem wesołą piosenkę.

Wszystko ją teraz cieszyło i w dwójnasób prowokowało do pracy. Nie ustawała też w niej ani na moment, ustalając równocześnie program reszty dnia:

W tej chwili jest godzina 11-ta, a więc czas już pomyśleć o obiedzie. Zrobi go jednak dzisiaj szybciej i skromniej, niż zwykle (tatuś musi wybaczyć!) a po tym zabierze się natychmiast do pieczenia bakaliowego nugatu i herbatników. Lula te rzeczy ogromnie lubi i obsypuje za nie Halę pochwałami — trudno więc o nich nie pomyśleć!... Po upieczeniu ciasta skoczy zaraz po kwiaty do ogrodnika, po owoce i cukierki do sklepu, no i do fryzjera, bo Lula nie może znieść gładkiej, codziennej fryzury Hali.

— Jak ty wyglądasz, Halko?! — wzdycha zwykle współczująco i ujmuje głowę siostry w swoje pachnące, prześliczne ręce. — Ależ, dziecko, ty zupełnie zatracasz swój typ, postarzasz się i kompletnie zniekształcasz. O, kilka figlarnych loczków na czole, burza włosów przy policzkach i już będziesz podobna do człowieka...

Więc Hala, z okazji każdego przyjazdu siostry, nie zapomina nigdy wstąpić do fryzjera

i tam każe przypiekać sobie nioby na czole i wyczarowywać masę kunsztownych loczków przy policzkach. Robi to jednak bez własnej satysfakcji, bo tylko dla uczynienia zadość prośbie Luli, którą uwielbia i która jej wszystkim imponuje. Poza tym Hala lubi bezpretensjonal ność, prostotę i swobodę. Lubi np. ubierać się w barwne, kretonowe sukienki i białe fartuszki lubi sprzątać, gotować i z pietyzmem hodować swoją kolekcję najdziwaczniejszych kaktusów i kaktusików.

Na drugi dzień, w godzinach południowych, zjawia się Lula. Ma na sobie zamszowe, popielate palto, fiołkowy kapelusik z długą woalką, lila rękawiczki i popielate pantofelki. Wygląda niesłychanie pięknie i elegancko. Hala jest zachwycona i jakby onieśmielona. Siedzi sztywno obok siostry na otomanie, ustawicznie poprawia ręką „zabójcze" nioby na czole i burzy niesfornie pierścionki przy policzkach.

— Słuchaj, jest tatuś? — pyta Lula i nerwowo zapala papierosa.

— Nie, przecież to dopiero pierwsza, a tatuś, jak wiesz, wraca z biura o 3-ciej po południu — mówi cicho Hala i podsuwa siostrze kawałki bakaliowego nugatu. Ta jednak odsuwa je ostentacyjnie i ciasno obejmuje ramieniem Halę.

— Widzisz, dziecko — zaczyna się jej spowiadać — życie moje ułożyło się w ten sposób, że będę zmuszona przez pewien czas u was zamieszkać...

— Doskonale! — uderza Hala głośno w dłonie i ośmielona już przytula się radośnie i czule do siostry.

— W tym też celu muszę pogadać z tatkiem! No i z tobą również, złotko! Wyobraź sobie, że rozwodzę się ze Stefanem. Od kilku tygodni nie żyjemy już z sobą. Przykra to sprawa i nudna, więc zamilczę lepiej o niej...

Hala odsuwa się nieznacznie od siostry i ze smutkiem myśli o Stefanie. Lubiła go zawsze i teraz nie może pojąć dla czego ten poważny i szlachetny mężczyzna „nie chce żyć z Lulą". Przecież ubóstwiał ją i nieledwie nosił na rękach z nadmiaru uczucia. Co się stało?! Hala jest głęboko przejęta i zamyślona, ale budzi ją z tego dźwięczny głos Luli:

— Powiedz — no mi, dziecko, czy macie tutaj dobrego fryzjera, jakąś renomowaną krawcową i manikurzystkę?! Bo inaczej, nie wiem, jak z wami wytrzymam!

Hala automatycznie wymienia nazwy firm i ulic, a po tym zapomina nagle o swoich niedawnych kontemplacjach i patrzy, jak Lula otwiera dużą, elegancką walizę. Ileż w niej pięknych i rewelacyjnych rzeczy dla tak młodziutkiej i skromnej panienki, jak Hala! A więc przybory do toalety z prawdziwego kryształu i złota dukatowego — jak objaśnia Lula. A więc bielizna z najdelikatniejszych jedwabi, bogato inkrustowana pajęczymi koronkami. A więc sukienki z aksamitu, jedwabiu i prześlicznych koronkowych materiałów.

— Och, cudne, cudne! — mówi gorączkowo Hala, a po tym prosi:

— Kochanie, włóż którąś suknię na siebie, zobaczę, jak pięknie w niej wyglądasz!

Ale Lula ziewa tylko i nakłada na siebie, biały, aksamitny szlafrok, obszyty śnieżnym, puszystym futrem.

— Słuchaj, mała — pyta — czy ty nie możesz sobie wziąć służącej? Kto mi np. poukłada teraz te rzeczy?

— Och, bagatela, ja to zrobię! — podbiega usłużnie Hala, zabiera się z zapałem do porządkowania i przy tym tłumaczy się:

— Widzisz, Lula, nie mam dziewczyny, bo po prostu niepotrzebna nam od śmierci mamy. Doskonale daję sobie radę sama! Zresztą, co ja bym robiła, gdyby była służąca? Zanudziłabym się na śmierć!

— No, dobrze, ale tak dalej zostać nie może i ty masz prawo do życia! Muszę to jakoś zmienić i ułożyć po swojemu! — przecina kwestię Lula, pada na otomanę i zabiera się do pysznego nugatu z bakaliami.

Dalsze dni są dla Hali pasmem najcudowniejszych wrażeń i wypadków.

Najpierw zachwyciło ją to, że wszyscy na ulicy oglądali się za Lulą. Oficerowie, studenci, sztubacy, eleganckie panie i kobiety w chustkach. Kilka razy nawet mężczyźni przystawali i rzucali pod adresem Luli, pełne zachwytu, komplementy, a kiedyś jeszcze podszedł do niej jakiś wysoki, wytworny pan i rozmawiał z nią bardzo, bardzo długo, ale Hala wiele z tego nie rozumiała, bo mówili przeważnie w obcym języku. W każdym razie Lula głośno się śmiała i przyrzekała zjawić się „na tej próbie".

Istotnie! Na drugi dzień po kolacji ubrała się w swoje piękne, zamszowe palto i fiołkowy kapelusz.

— Tatusiu — rzuciła w stronę ojca — poproszono mnie, abym zagrała w amatorskim teatrze główną rolę, idę więc na próbę. Halkę zabieram z sobą!

Staruszek w milczeniu przetarł okulary, skinął głową i znów zagłębił się w interesującej treści co dopiero przyniesionego wydania wieczornej gazety. Od kilku dni dziwnie posmutniał, ale z rezygnacją przyglądał się wszelkim zmianom, jakie wprowadzała Lula. Może brak mu było energii, aby wypowiedzieć córce wojnę, a może nie chciał w ciche ściany swego mieszkania wprowadzać chaosu i nieporozumień. Milczał tylko, siwiał coraz więcej i żółkł na twarzy.

Lula tym czasem szalała: zaangażowała młodą, eleganckę służącą, zainstalowała komfortowe urządzenie w łazience, powybijała makatami ściany w pokojach, po rozkładała na podłogach puszyste zwierzęce skóry i w końcu zabrała się do unowocześnienia Hali.

— Zrobię z niej typ, tatusiu, zrobię z niej człowieka! — dowodziła z entuzjazmem.

Biedna dziewczyna musiała teraz poddawać się codziennie torturom zapiekania niobów i loków, musiała schować swoje barwne sukienki na dno szafy i nosić sukienki do figury, kapelusze zsunięte na czoło i pantofle na hiszpańskich obcasach. Nie wolno jej było również sprzątać i kłuć sobie palcy kaktusami, ani niszczyć wypolerowanych irchą paznokci wyrabianiem ciasta.

— Och, Lulo, czuję się w tych nowych sukienkach, jak w pancerzach! Zlituj się, pozwól mi chociaż na jeden dzień wrócić do dawnej roli! — próbowała się buntować, ale siostra była tak rozbrajająca:

— Ależ, Halko, dziękuj Bogu, że jesteś teraz inna! Nawet nie wiesz ile komplementów płynie obecnie pod twoim adresem! Wczoraj na przykład pan Władek...

— Pan Władek?... co, Lulo, co mówił?... — oczy dziewczyny aż powiększyły się z gorączkowej ciekawości.

— O, widzisz, pasjonuje cię to, ale... nie powiem, za karę... za ten bunt... Chyba, że pozwolisz się dzisiaj ubrać według mego życzenia!

— Dobrze!

Hala z rezygnacją nakłada wieczorową, ciasną sukienkę, uśmiecha się do siostry i pozwala zrobić sobie różem delikatne rumieńce, ubielić pudrem twarz i powlec usta pomadką.

— Powiedział, że jesteś najmilszą i najwięcej z nas ujmującą — szepce Lula na ucho Hali i nadaje jej delikatnym, jasnym brewkom wyzywający, śmiały kształt.

Po chwili idą eleganckie i pachnące drogimi perfumami na próbę.

W sali są już zgromadzeni wszyscy artyści, z wyjątkiem reżysera. Do Luli przysuwa się zaraz wysoki, wytworny pan, który onegdaj podszedł do niej na ulicy, zaś Halą zajmuje się pan Władek.

— Przypomina mi pani „Hankę" Stachiewicza. Ten sam ciepły owal twarzy i to samo tęskne, niewinne spojrzenie oczu. Po co tylko te sztuczne brwi i krwawe usta? Proszę być soba, panno Halinko, proszę zachować jak najwięcej prostoty i naturalnego wdzięku, a będzie pani czarująca!

Pan Władek mówi to spokojnym, życzliwym głosem i w dalszym ciągu nie odstępuje Hali, chociaż ustawicznie wabi go ku sobie mocno utleniona i wymalowana pani Zizi.

— Wiesz, dziecko — mówi tajemniczo któregoś dnia Lula — zdecydowałam się wyjść za pana Zdzisława. Wyobraź sobie, że zakochał się we mnie od pierwszej chwili... już wtedy na ulicy.. gdy mnie zapraszał na próbę. Cóż — nie stracę na tej decyzji, bo do Stefana nie wrócę. Nie mogę zresztą!... On nigdy nie odbudowuje mostów, które pali poza sobą. Muszę więc jakoś ułożyć sobie życie, gdyż w przeciwnym wypadku zginęłabym tutaj... Weźmiemy ślub cywilny i wyjedziemy do Warszawy. Tam Zdzich posiada własną kamienicę w śródmieściu i willę w Otwocku. Zamieszkamy w willi...

— Jakto, nie wrócisz nigdy do Stefana? — pyta mocno wzburzona Hala, która nie pozwala sobie już teraz malować brwi i ust.

— Nie mogę, Halu! Miałam romans, zdradziłam go! To zbyt parafiański mężczyzna, aby mógł mnie z tego rozgrzeszyć! — mówi Lula, a Hala czuje w sercu jakiś ostry ból i łzy w oczach.

— Wiesz, ja go szanuję, tego twojego Stefana i... rozumiem. I ja bym cię na jego miejscu nie rozgrzeszyła! Każdy człowiek musi mieć jakieś zasady życiowe i nigdy nie powinien być pustą, bezduszną lalką, a tym więcej wiarołomną...

Hala unosi się coraz więcej i czuje silne wypieki na twarzy.

— Tere — fere — kuku! Każdy człowiek powinien wziąć jak najwięcej przyjemności z życia, i to życie ułożyć sobie jak najwygodniej! Przyjmij to do wiadomości i dowidzenia, mała moralistko! Wychodzę do fryzjera!

Hala płacze długo i żałośnie, skuloną na otomanię, a po tym wygładza na sobie sukienkę, zakłada biały fartuszek i podchodzi do zapomnianei i zaniedbanej kolekcji kaktusów.

— Och, będzie wam znowu dobrze, moje pieszczoty — uśmiecha się przez łzy — niech tylko wyjedzie Lula i zniknie ta wyfiokowana osóbka z kuchni. Bolesne są nieraz wasze ukłucia, ale stokroć boleśniejsze są czyny i słowa ludzi pustych i zepsutych powodzeniem.

Hala wzrusza mikroskopijnym szpadelkiem zeschniętą ziemię w doniczkach i myśli z kolei o panu Władku, a właściwie o jego wczorajszych słowach.

— Niech pani nie idzie śladem siostry — mówił — bo nigdy nie zdoła być szczęśliwą. Siostrze pani odpowiada świat niezwykłych, lecz płochych przygód tęczowego motyla, pani zaś trochę szablonowe, ale za to przydatne i pełne wartości życie małej, pracowitej mrówki. Siostra jest typem, który wspina się przez życie po urwiskach, lubi dzikie bezdroża i tajemnicze ścieżki, natomiast pani musi pójść przed siebie prostą, jasną i zdecydowaną drogą. To da pani pełne i całkowite zadowolenie, podobnie, jak wyboista droga, da siostrze tylko chwilowe zadowolenie. I wie pani, zdaje się, że jestem bliski prawdy, twierdząc, że siostra zapragnie kiedyś pójść drogą pani, jednakże pani nigdy nie zechce pójść jej ścieżkami. I w tym właśnie tkwi cały sens i istotna wartość życia uczciwego, droga panno Halusiu!

Pan Władek, wygłaszając te mądre słowa, trzymał rękę Halusi w swojej i długo patrzał jej w oczy. A oczy te były tak wymowne, że Hala zrozumiała nagle wszystko. Otóż pan Władek znalazł w niej bratnią duszę. Mądrość i trzeźwość jego myśli zupełnie dorównywały prostocie i czystości Halusinych pojęć.

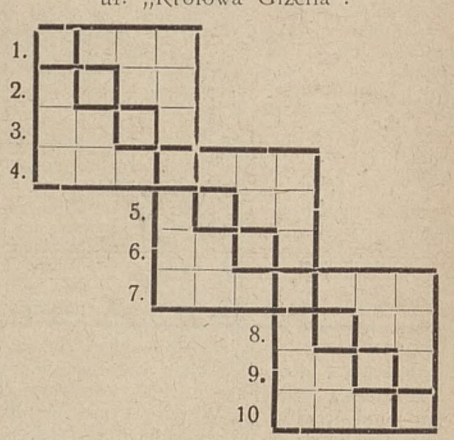
Zrozumiała też równocześnie, że imponuje jej teraz jedynie i naprawdę tylko pan Władek.

Maria Zemmlerówna.

Chwila zastanowienia

ŁAMIGŁÓWKA

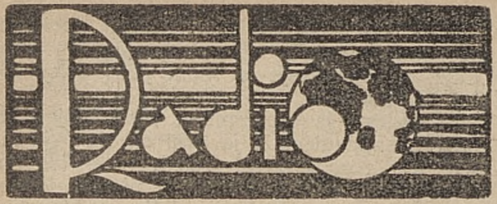
ul. „Królowa Gizella".



Kratki oznaczone grubszą linią dadzą nazwisko naczelnego wodza w jednym z krajów europejskich.

Znaczenie wyrazów:

1) Kwiat
2) Szkodliwe zwierzątko
3) Uprząż końska
4) Wspaniały
5) Błyszczy
6) Materiał jedwabny
7) Człowiek niebezpieczny (l. mnoga)
8) Pole nieuprawne
9) Moc
10) Wesele



Niedziela, dnia 16 lipca 1939 r.

7.00 Audycja poranna 8.15 Koncert poranny w wyk. Ork. Mar. Wojennej z Gdyni 9.00 Regionalna transmisja z Inowrocławia i Kruszwicy — Reportaż i nabożeństwo 10.30 Koncert z płyt 12.03 Poranek muzyczny 13.00 Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego 13.15 Muzyka obiadowa 14.45 „Czytamy Mickiewicza" (aud. 7-ma) „Pan Tadeusz" 15.00 Audycja dla wsi 16.30 Recital fortepianowy Witolda Małcużyńskiego 17.00 Audycja świetlicowa Koła Młodej Wsi w Szwejkach 17.20 „Kto odpowie?" 17.35 Podwieczorek przy mikrofonie z Zaolzia 19.00 „Najwierniejsza" — premiera słuchowiska 19.30 Feliks Mendelssohn: Oktet Es-Dur op. 20 21.15 Muzyka taneczna z Poznania — W 3-ch przerwach trzy humoreski A. Nowickiego.

Poniedziałek, dnia 17 lipca 1939 r.

6.30 Audycja poranna 8.15 Pogadanka dla kupców 12.03 Audycja południowa 14.45 Słuchowisko dla młodzieży: „Dawid Cooperfield" 11.55 Fragmenty z baletów Ryszarda Drigo w wyk. Orkiestry A. Hermana 16.20 Miniatury kwartetowe — koncert z Krakowa 17.00 Muzyka taneczna (płyty) 18.00 Recital śpiewaczy A. Michałowskiego 18.25 Koncert solistów (ze Lwowa) 19.00 Audycja żołnierska 19.30 „Przy wieczerzy" — koncert rozrywkowy (z Wilna) 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Sławne koncerty: „Pierwszy koncert Liszta w Paryżu" — audycja muzyczna (z Poznania 21.50 „Echa mocy i chwały" 22.00 Muzyka taneczna (płyty).

Wtorek, dnia 18 lipca 1939 r.

6.30 Audycja poranna 8.15 „Dzieci mają głos" — audycja z Poznania 12.03 Audycja południowa 14.45 „Livingstrone w krainie Lwów" — pogadanka dla młodzieży 15.00 Muzyka popularna w wyk. Ork. Rozgł. Poznańskiej 16.20 Miniatury fortepianowe w wyk. Olgi Łapickiej 17.00 Muzyka taneczna 18.00 Koncert Muzycznego Ogniska Wakacyjnego Liceum Krzemienieckiego — transm. z Krzemieńca 19.00 Audycja dla robotników 19.30 „Przy wieczerzy" — koncert rozrywkowy 20.25 Audycja dla wsi 21.00 „Oszukany Kadi" — opera komiczna Glucka 22.00 Polska między Wschodem i Zachodem — odczyt I 22.15 Koncert w wyk. Ork. Smyczkowej Zw. Muzyków Chrześć.

Środa, dnia 19 lipca 1939 r.

6.30 Audycja poranna 8.00 Audycja poranna Muzycznego Ogniska Wakacyjnego Liceum Krzemienieckiego — transm. z Krzemieńca 8.15 Pogadanka turystyczna 12.03 Audycja południowa 14.45 „Nasz koncert" — audycja dla dzieci 15.15 Muzyka popularna w wyk. Ork. Salonowej z Łodzi 16.20 Pieśni romantyków w wyk. Wandy Hendrich 16.50 „Piezoelektryczność" — pogadanka 17.00 Muzyka taneczna z Cafe Paradis 18.00 Słynne symfonie — koncert z płyt 19.05 „Coby było gdyby" — wesoła audycja z Torunia 19.35 „Przy wieczerzy" — koncert z Katowic 20.10 Odczyt wojskowy 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Ludomiły Berkwicówny 22.00 Tematy egzotyczne w muzyce operetkowej — koncert.

Czwartek, dnia 20 lipca 1939 r.

6.30 Audycja poranna 8.20 „Akademicy na morzu" — reportaż z obozu A.Z.M. 12.03 Audycja południowa 14.45 „Wojsko polskie: „Jedzie, jedzie artyleria" — audycja słowno-muzyczna dla młodzieży 15.05 Koncert popularny w wyk. Ork. Rozgł. Wileńskiej 16.20 Pieśni i ballady w wyk. Adama Mazanka 16.45 „Budownictwo wsi Polskiej: Budowle sakralne „Kościół" — odczyt 17.00 Muzyka taneczna z płyt 18.00 Koncert 18.50 „Echa mocy i chwały" 19.00 „Książki do których się wraca: „Trylogia Sienkiewicza" 19.20 „Przy wieczerzy" — koncert rozrywkowy 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Recital fortepianowy w wyk. Z. Grzybowskiego 21.30 „Kraina ślepców" H. G. Wells'a w Teatrze Wyobraźni 22.00 Muzyka dawnych mistrzów — koncert ze Lwowa 23.15 Koncert muzyki polskiej.

Piątek, dnia 21 lipca 1939 r.

6.30 Audycja poranna 8.15 „Kłopoty i rady: „Jaś się boi wody" — dialog 12.03 Audycja południowa 14.45 „Kapitan Cook i kangury" — pog. dla młodzieży 15.00 Muzyka popularna z Katowic 16.20 Gustaw Jensen: Sonata a-moll op. 26 16.45 Rozmowę z chorymi przeprowadzi ks. Rękas 17.00 Muzyka taneczna z płyt 18.00 Recital śpiewaczy Z. Massalskiej 18.30 Muzyka organowa w wyk. Wł. Kalinowskiego 19.00 „Sielanka" — fragment z powieści 19.30 „Przy wieczerzy" — koncert rozrywkowy 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Kwartety Beethovena — koncert z płyt 21.40 „Balzac" portret literacki 22.00 Koncert poświęcony utworom Ed. Griega — Transmisja z Oslo.

Sobota, dnia 22 lipca 1939 r.

6.30 Audycja poranna 8.15 „Z mikrofonem przez Polskę: „Pogoda w Orłowie" 12.03 Audycja południowa 14.45 Teatr Wyobraźni dla dzieci: „Przygody ślimaka Nieroby" 15.15 Koncert popularny z Wilna 16.20 Miguel Fleta — reportaż muzyczny 17.05 Muzyka taneczna z Café Club 18.00 „Mało znane utwory" — koncert z Poznania 19.00 „Przez siedem mórz do siedmiu wzgórz" — wesoła powieść radiowa — „Lwów w żelaznej wodzie kąpany" 19.30 Audycja dla Polaków za granicą 20.00 „Muzyka ludowa opowiada" — audycja słowno-muz. 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Miłostki ułańskie — romantyczny wodewil 22.00 Muzyka taneczna 23.20 Muzyka taneczna.



RÓŻNE PRZYCZYNY

Lewi powiada Kohnowi:

— Nie mogę spać, gdy się napiję czarnej kawy.

— A ja przeciwnie — rzecze Kohn — gdy śpię, nie mogę pić czarnej kawy.

KTO KOGO SIĘ BOI...

— Czytam właśnie, że kobiety są odważniejsze od mężczyzn.

— Śmiesznie! Kobieta boi się myszy!

— Słusznie! A tej kobiety boi się mężczyzna!

TO I OWO

Na angielskim statku odbywają się ćwiczenia.

— Wszyscy kładą się na wznak! — rozkazuje oficer. — A teraz poruszać w powietrzu nogami w ten sposób, jak gdybyście jechali na rowerze!

Po kilku wykonanych ruchach jeden z marynarzy przerwał ćwiczenia.

— Dlaczego nie ćwiczysz dalej, Murphy? — zwraca się doń oficer.

— Bo ja mam wolne koło — odpowiada marynarz.

KONIEC BAJKI

— Tatusiu powiedz mi, dlaczego właściwie każda bajka kończy się ślubem?

— Widzisz, mój synku, to dlatego, że wraz z ślubem kończy się bajka...

ROZMÓWKA BERLIŃSKA

— Co słychać u ciebie, Hans? Jak żona?

— Mam z nią wielkie zmartwienie. Zachorowała na göringitis!

— ???

— Co drugi dzień chce nową suknię!

AUTENTYCZNE

Jakaś starsza dama w antycznej salopce zwraca się do konduktora w tramwaju:

— Przepraszam pana, czy nie wie pan gdzie jest ulica Dantyszka?

— Pierwszy raz słyszę o takiej ulicy — odpowiada konduktor.

Siedzący w tym samym wagonie znakomity matematyk profesor S.., mieszkający przypadkowo w pobliżu tej ulicy, poucza dokładnie staruszkę, jak może się tam dostać.

Wysiadając dama zwraca się z pełnem uznaniem do profesora:

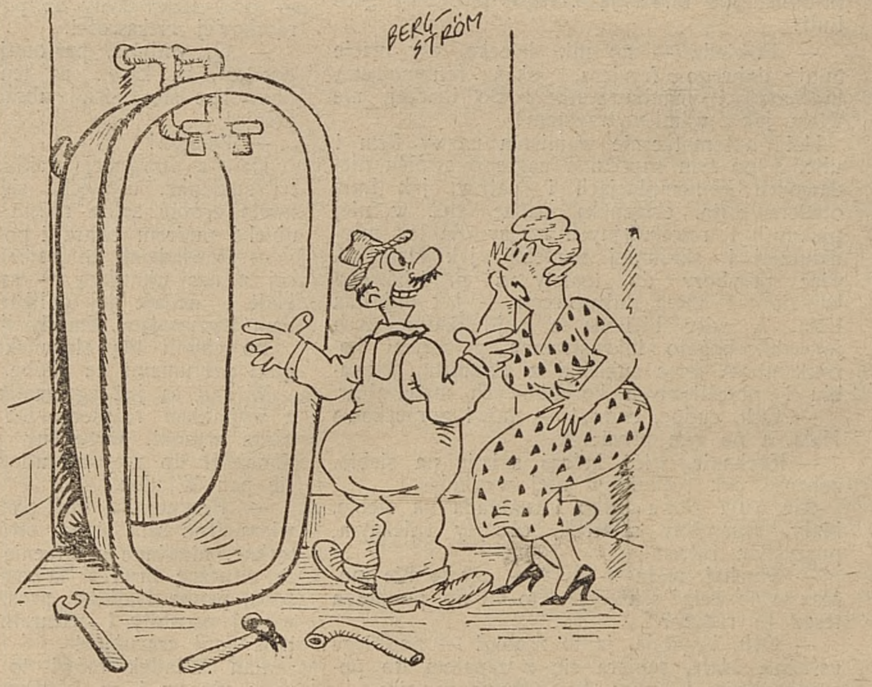
— To pan powinien być konduktorem, a nie ten cymbał!

ŚCISŁE TAJNE

Dwaj alpiniści niemieccy wdrapują się na szczyt Jungfrau. Po długiej, uciążliwej wspinaczce znaleźli się na szczycie góry.

Hans rozejrzał się lękliwie dokoła i spytał szeptem swego towarzysza:

— No, ale może teraz powiesz mi nareszcie co sądzisz o Hitlerze?



— Z braku miejsca ustawiłem wannę w w ten sposób.

PRZEDPŁATA: już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych, 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedzialny: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.